NR 10 2019

ATAK

ANARCHISTYCZNA GAZETA ULICZNA

Uchodźcy w Grecji – kryzys trwa nadal

Polityka migracyjna Unii Europejskiej jest od lat powodem wielu ludzkich tragedii. Zwiększona militaryzacja i dalsze uszczelnianie granic zewnętrznych Europy po 2015 roku doprowadziły m.in. do wzmocnienia biznesu przemytniczego, korupcji straży granicznej i policji, a także masowego wykorzystywania migrantów jako taniej siły roboczej na czarnym rynku pracy.

Katarzyna Czarnota

Na terenie całej Europy powstały dziesiątki obozów tymczasowych, w których uchodźcy czekują na decyzje dotyczące ich przyszłości. Można powiedzieć, że ci, którzy — próbując dotrzeć do Europy — nie utonęli w morzu, nie zginęli z rąk przemytników oraz nie zostali uwięzieni w zamkniętych centrach w oczekiwaniu na deportację, są skazani na akceptację ciągłego dyscyplinowania i posłusznego wyczekiwania w założonych obozach.

Przywoływane co roku obrazy medialne z zaśnieżonych kontenerów i namiotów mobilizują ludzi do działania. Niektórzy uchodźcy, podejmując protesty i strajki głodowe, starają się — po raz już kolejny — unaocznić nam skutki kryzysu politycznego projektu, jakim jest Unia Europejska i obecna polityka zarządzania granicami.

Samoorganizacja zamiast trzeciego sektora

Samoorganizacja, prowadząca do wzmocnienia politycznej podmiotowości uchodźców, jest postrzegana przez rządzących jako zagrożenie. Wynika to z faktu, że oddolne próby działań, w których rezultacie uchodźcy i grupy ich wspierające formułują postulaty polityczne, odbywają się poza kontrolą i wbrew interesom państwa oraz trzeciego sektora. By odizolować migrantów od społeczeństwa i grup aktywistycznych, rząd Grecji wprowadził systematyczną kryminalizację oddolnych grup solidarnościowych oraz surowe represje za organizowanie akcji protestacyjnych przez samych uchodźców. Jako przykład można podać skazanie 233 osób — uczestników sittingu — na rok więzienia (w zawieszeniu na 3 lata). Protestujący uchodźcy w 2018 roku zablokowali na kilka godzin ruch samochodowy na jednej z głównych ulic w Salonikach.

Obozy dla uchodźców w Grecji zlokalizowane są na obrzeżach miast. Przestrzenie niegdyś używane przez wojsko — opuszczone stadiony lub hangary — zostały przekształcone w kontrolowane strefy, do których dostęp mają obecnie wyłącznie „akredytowane" osoby. Mimo że część obozów funkcjonuje jako przestrzeń „półotwarta" (można z nich wychodzić), ich lokalizacja jest przyczyną społecznej izolacji. Centrum miasta, pełniące funkcje emancypacyjne, jest oddalone kilometrami autostrady. (Tylko w samych Salonikach w wypadkach drogowych w 2018 roku zginęło ok. 40 mieszkańców obozów potrąconych przez samochody na autostradzie w drodze do i z centrum). Infrastruktura mieszkaniowa jest bardzo uboga, ludzie zazwyczaj mieszkają w kontenerach lub namiotach. Najgorsze warunki panują zimą. Chociaż zima w Grecji trwa stosunkowo krótko, nagłe opady śniegu i ujemne temperatury utrzymujące się przez kilka tygodni stanowią bardzo duże zagrożenie dla zdrowia i życia ludzi mieszkających w kontenerach, namiotach czy hangarach. Często zamarzają rury dostarczające wodę do przestrzeni wspólnych, toalet, kuchni.

Trzeci sektor – stabilizacja sytuacji

Równolegle z represjami obserwujemy promowanie przez przedstawicieli UE idei wolontariatu i finansowania etatów dla pracowników organizacji pozarządowych. Równocześnie wszelkie inne formy aktywności i protestu są określane jako infantylne lub stanowiące zagrożenie dla bezpieczeństwa społecznego.

W roku 2017 m.in. badacze Refugee Rights Data Project oraz przedstawiciele z centrum KE-



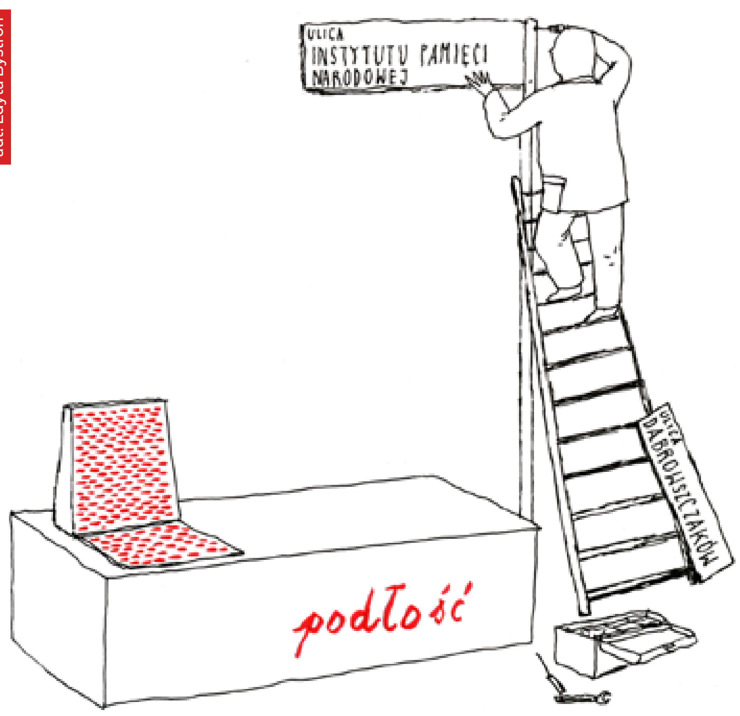
Obóz Moria po opadach śniegu. Wyspa Lesbos, źródło: fanpage Refugee Accommodation and Solidarity Space City Plaza

ELPNO doszli do wniosku, że pomimo finansowania obozów przez UE i rząd grecki, miejsca te nie spełniają podstawowych standardów zapewniających godne schronienie. Autorzy raportów postulują zamknięcie obozów i przeniesienie uchodźców do centrów miast, co umożliwi procesy ich emancypacji. Tymczasem w odpowiedzi na podnoszenie przez oddolne ruchy i samych uchodźców problemy, są oni represjonowani za działania wyrażające „brak zgodności z interesami państwa".

Solidarność zamiast współczucia

Na przestrzeni ostatnich lat wiele oddolnych grup w Grecji odpowiedziało na „kryzys". Pracownicy z okupowanej fabryki Vio.me w Salonikach, tworząc autonomiczne wobec państwa przestrzenie wsparcia, rozpoczęli lokalne działania, m.in. umożliwiając funkcjonowanie bezpłatnej solidarnościowej kliniki, świadczącej za darmo usługi medyczne pracownikom i imigrantom. Kolektywy oraz grupy anarchistyczne o lewicowe zajmowały wraz z uchodźcami skłoty i organizowały akcje solidarnościowe m.in. Nota, City Plaza w Atenach czy obecnie nieistniejące Orfanotrofeio w Salonikach. Liczne miejsca i wolnościowe centra społeczne stanowiły bazę, magazyny i centra spotkań m.in. Micropolis i Steki Metanaston w Salonikach, Nosotros i Votanikos Kipos w Atenach oraz wiele innych. To, co wyróżnia działania oddolne od działań państwa i organizacji pozarządowych to fakt, że są one motywowane↗

aut. Edyta Bystroń



STOP FERMOM
WYWIAD Z ILONĄ RABIZO
s. 3

Historia jako narzędzie ideologicznej dominacji

Od najmłodszych lat wbija się nam do głów, że „historia to nauczycielka życia". Jednak patrząc, jak świat powtarza stare błędy, nasuwają się poważne wątpliwości, czy aby na pewno w przeszłości ukryty jest klucz do szczęścia w teraźniejszości. A może to nie wina historii, lecz pewnej jej interpretacji, która zamiast edukować służy podtrzymywaniu hegemonii rządzących?

Krzysztof Wasilewski

Historyczna terapia szokowa

Historia jako narzędzie dominacji jest wykorzystywana przez wszystkie państwa. Czas, szerokość geograficzna czy panująca ideologia nie mają tu znaczenia. Skupmy się jednak na Polsce. Stanowi ona bowiem laboratoryjny przypadek dowodzący tego, jak kształtowanie wyobrażenia o przeszłości wpływa na postrzeganie teraźniejszości. Zarazem tak silne podbudowanie bieżącej polityki myśleniem o przeszłości zbliża nas bardziej do rozwiązań wschodnioeuropejskich niż Zachodu, do którego podobno zdążamy od 30 lat. To właśnie w Rosji czy na Ukrainie kwestionowanie oficjalnej wizji historii drugiej wojny światowej grozi sankcjami karnymi. Na początku 2018 r. podobne rozwiązania próbował przeforsować polski rząd — na szczęście bez większego powodzenia. Nie znaczy to bynajmniej, aby polityka historyczna nad Wisłą osłabła. Wręcz przeciwnie. Jeszcze nigdy historia nie odgrywała tak znaczącej roli w budowaniu świadomości społecznej i politycznej, jak obecnie.

W 2018 r. cała polska polityka żyła w cieniu setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Na pamiątkę pozostaną nam wspomnienia brunatnego marszu z 11 listopada oraz szpetne „ławki niepodległości", dewastujące parki i skwery w całym kraju. Także bieżący rok nie zapowiada się pod tym względem lepiej. W 2019 r. mija bowiem kolejna okrągła rocznica, wywołująca jeszcze większe emocje i spory niż poprzednia. Otóż 30 lat temu miały miejsce obrady Okrągłego Stołu i wybory parlamentarne, które umożliwiły transformację systemu politycznego i gospodarczego. Rozpoczęła się w Polsce, podobnie jak w całym regionie Europy Środkowej i Wschodniej, „terapia szokowa". Naomi Klein, która spopularyzowała ten termin, przekonuje, że elity celowo prowokowały chaos, aby w ten sposób nakłonić społeczeństwo do zaakceptowania drastycznych reform. Klein nie pisze jednak o roli polityki historycznej w sukcesie terapii szokowej.

Warto przypomnieć, że na skutek porozumienia ówczesnej strony rządowej (czyli PZPR) z opozycją zostały podzielone nie tylko miejsca w przyszłym parlamencie, ale także rynek medialny. W konsekwencji — w niedługim czasie — radio, prasa i telewizja zostały zdominowane przez zwolenników neoliberalnych reform. Nie↗



Obóz Lagkadikia na obrzeżach Thessalonik. W styczniu opady śniegu spowodowały kilkunastodniowe braki w dostawie bieżącej wody. Ludzie roztapiali śnieg, żeby ugotować jedzenie. autor: Bilal Hama



Rok 2019 rozpoczął się pożarem jednego z namiotów obozie Moria, znajdującym się na wyspie Lesbos
źródło: fanpage Refugee Accommodation and Solidarity Space City Plaza

Uchodźcy w Grecji – kryzys trwa nadal

cd ze s. 1

różnymi imperatywami politycznymi. W przeciwieństwie do napływu pomocy z wysoce scentralizowanych organizacji do pozbawionych uprawnień uchodźców, prawdziwa solidarność ma charakter horyzontalnej współpracy. Motywem napędzającym działanie jest nie „litość", lecz empatia i solidarność klasowa.

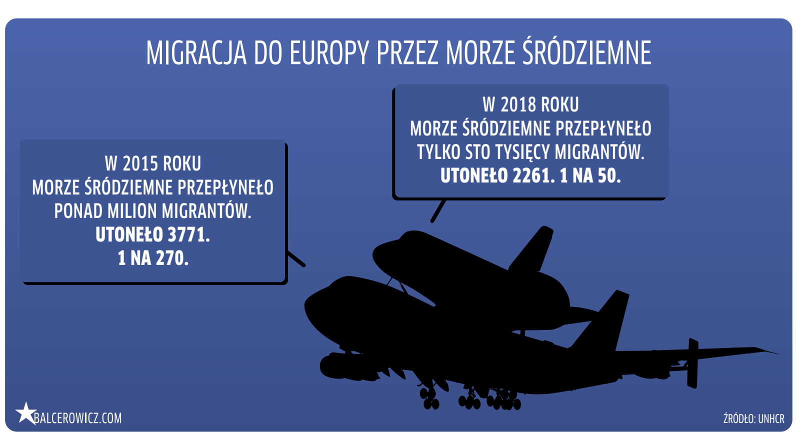
Podejmowanie wspólnych decyzji w zróżnicowanej grupie jest trudnym zadaniem, gdyż wymaga wzajemnego poznawania kultur, obyczajów, pokonywania uprzedzeń i stereotypów. Pomimo tego, powyżej wymienione grupy i kolektywy stanowią przykłady wspólnie tworzonych, autonomicznych inicjatyw solidarnościowych, które działają wbrew wymuszonej segregacji, tworząc przestrzeń działania dla mieszkańców dzielnic i uchodźców. W odpowiedzi, mieszkańcy greckich skłotów są karani przez państwo, m.in. odmową otrzymywania świadczeń pieniężnych dostępnych co miesiąc dla uchodźców przebywających na terenie Grecji. Deklarując adres zamieszkania w okupowanej przestrzeni automatycznie tracą możliwości wsparcia.

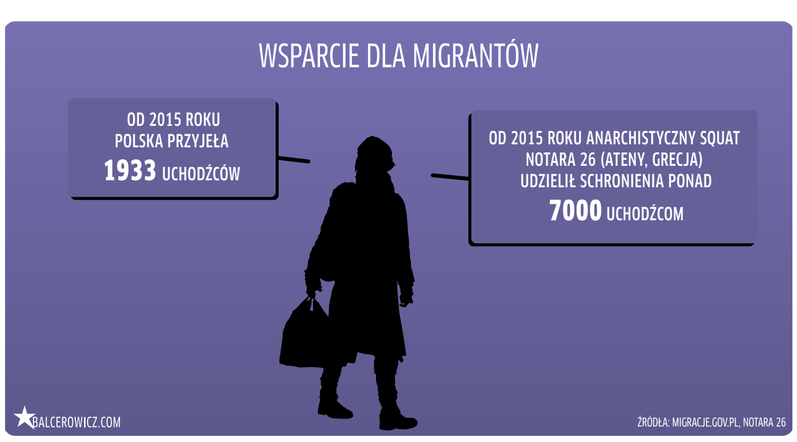
„Kryzys" będzie trwał

Obecnie około 250 milionów ludzi na świecie żyje w kraju innym niż ich kraj pochodzenia. Zgodnie z danymi Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw uchodźców rok 2018 był rokiem, w którym liczba osób zmuszonych do opuszczenia swojego kraju ciągle wzrastała. Biorąc pod uwagę obecną sytuację geopolityczną, możemy spodziewać się utrzymania tego trendu także w następnych latach. Reakcja państw i polityków na ujawnienie przez media wzrastającej liczby osób migrujących, polegała na budowaniu atmosfery niechęci, braku zaufania, wzrostu nastrojów nacjonalistycznych i ksenofobicznych. Poszczególne rządy podsycały atmosferę strachu przed migrantami, by odwrócić uwagę opinii publicznej od debaty związanej z wewnętrznymi problemami ekonomicznymi. To uchodźcy mają być najczęściej postrzegani jako źródło społecznych problemów.

Opisywanie migracji przez pryzmat tylko i wyłącznie bezpieczeństwa narodowego doprowadziło do sytuacji, w której próby podejmowane przez ludzi chcących skorzystać w praktyce z praw człowieka (ubiegając się o azyl lub inna formę ochrony na terenie Europy) zostały nazwane „kryzysem migracyjnym".

W następstwie, wprowadzono w życie działania, które można utożsamić z politycznym „stanem wyjątkowym", kiedy — jak się okazuje — żadne państwo, w tym także Polska, nie ponosi konsekwencji za łamanie międzynarodowego prawa azylowego. Z roku na rok postępuje natomiast kryminalizacja migracji i usprawiedliwianie przemocy ze strony funkcjonariuszy państwowych. Mają miejsce nielegalne cofnięcia z granic, pobicia, zabieranie dokumentów i ubrań, przy jednoczesnym oblewaniu wodą uchodźców, którzy w zimie podejmują próby przekroczenia granicy węgiersko-serbskiej czy turecko-greckiej. Represje takie są codziennością, o której się jednak nie mówi. Ci, którzy próbują przejść dalej na własną rękę, czasami miesiącami koczują w leśnych obozowiskach i opuszczonych fabrykach, czekając na możliwość przekroczenia kolejnej granicy. W tym samym czasie dyscyplinowanie organizacji pozarządowych przybiera coraz bardziej wyrafinowane i kuriozalne formy, jak np. zakaz rozdawania butów i czapek zimą w Serbii, co ma na celu uniemożliwienie podejmowania kolejnych prób przejścia przez granicę. ★





Historia jako narzędzie ideologicznej dominacji

cd ze s. 1

wystarczyło jednak wytłumaczyć społeczeństwu, że galopujące bezrobocie i inflacja były ceną, którą należało ponieść, aby „dogonić" Europę Zachodnią. Coraz więcej bowiem ludzi czuło się pokrzywdzonych przez transformację, z rosnącym rozrzewnieniem wspominając stabilizację PRL-u. Należało zatem zohydzić miniony system. Lata Polski Ludowej pokazywano więc jako okres gospodarczej zapaści i politycznego zamordyzmu. Działacze opozycji demokratycznej, zwłaszcza zaś „Solidarności", awansowali do rangi bohaterów narodowych, stawianych na równi z powstańcami warszawskimi czy żołnierzami Armii Krajowej. Kto spał choć jedną noc na styropianie, ten zyskiwał miano autorytetu moralnego. Bez względu na to czy ktoś czytał „Gazetę Wyborczą", „Rzeczpospolitą" lub „Życie", otrzymywał jedną narrację historyczną. Z kolei nieliczne wyjątki, jak np. tygodnik „NIE" Jerzego Urbana, funkcjonowały na marginesie debaty publicznej i nie miały szans na nią wpłynąć.

Dekomunizacja strajków i ulic

Media angażowały historię we wszelkie aspekty życia państwa w okresie transformacji. Polecam przejrzeć archiwalne wydania największych wówczas dzienników i przekonać się, jak w pierwszej połowie lat 90. XX w. (a także i później) pisały one o strajkach. W tym niezwykle trudnym dla społeczeństwa czasie robotnicy wychodzili na ulice niemal codziennie. Wszystkiemu towarzyszyły wielkie emocje, zważywszy, że protestowali oni przeciwko swoim niedawnym liderom z „Solidarności". Tymczasem prasa, a w ślad za nią radio i telewizja, jak jeden mąż przekonywały o szkodliwości strajków, o ich więzach z komunizmem, które w „wolnej" Polsce należało przeciąć itp. Związkowcy jawili się zaś jako pogrobowcy dawnego systemu, „homo sovieticus", nierozumiejący kapitalistycznej gospodarki. Ponownie historia posłużyła jako narzędzie dostosowywania społeczeństwa do neoliberalnego systemu.

Kampanii medialnej skierowanej przeciwko dawnemu systemowi towarzyszyła „dekomunizacja" przestrzeni miejskiej. Chociaż więc rzeczywiście część pomników, jak te upamiętniające Feliksa Dzierżyńskiego, trudno było obronić przed demontażem, o tyle pozostałe zlikwidowano bez głębszego zastanowienia się nad tym, co i kogo one reprezentują. „Terapia szokowa" posłużyła nowej elicie do wymazania z pamięci społeczeństwa wszystkich śladów, które mogłyby posłużyć do zakwestionowania przyjętego w 1989 r. kursu. Przykładowo — na próżno szukać w dużych polskich miastach ulicy Karola Marksa (w mniejszych też się zaczynają o niego upominać władze), podczas gdy tuż po drugiej stronie granicy, we Frankfurcie nad Odrą, Karl-Marx-Strasse stanowi jedną z jego głównych arterii; nie mówiąc już o Berlinie.

Na straży jednej narracji

O ile w wielu przypadkach polską polityką po 1989 r. rządził chaos, o tyle polityka historyczna cechowała się godną pozazdroszczenia stabilizacją. Zwieńczeniem jej pewnego etapu było powołanie w styczniu 1999 r. Instytutu Pamięci Narodowej. Do jego zadań miało należeć m.in. gromadzenie i zarządzanie dokumentami organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944-1989, ściganie zbrodni nazistowskich i komunistycznych oraz prowadzenie badań i działalności edukacyjnej. Mimo tak licznych zadań IPN — od początku swojej działalności — dał się poznać przede wszystkim jako instytucja służalcza wobec rządzących, której „badania" były ukierunkowane na wspieranie dotychczasowej polityki historycznej państwa. Co prawda, w minionym dwudziestoleciu IPN miał także lepsze momenty, to jednak nigdy historia w jego wydaniu nie była wolna od propagandy. To, z czym mamy do czynienia dzisiaj, nie wzięło się znikąd, lecz miało swój początek w ustawie powołującej IPN.

Lista zasług IPN-u w wykorzystywaniu historii jako narzędzia dominacji jest pokaźna. Na pewno znajduje się na niej uczynienie z powojennego podziemia zbrojnego jednego z fundamentów Trzeciej Rzeczpospolitej. Mało tego — „żołnierze wyklęci" już dawno przestali być jedynie postaciami z niedawnej przeszłości, lecz stali się obiektem kultu, z którym się nie dyskutuje, a w który się wierzy. Zgodnie z tym kultem każdy, kto po 1945 r. zamiast iść do lasu rozpoczął odbudowę państwa po zniszczeniach wojennych, stawał się kolaborantem. Nic to, że „Ogień", „Bury", „Łupaszka" i inni mają na koncie cywilne ofiary, w tym kobiety i dzieci. Ważne, że walcząc z komunistami nosili na szyi ryngrafy z Matką Boską. Zatem kult „żołnierzy wyklętych" stoi na straży nie tylko systemu gospodarczego — wszak większość „leśnych" pochodziła z rodzin ziemiańskich, zaś ich ofiary to głównie chłopi — ale także narodowej wizji historii i wiary katolickiej. Innymi słowy, kto krytykuje „żołnierzy wyklętych", ten krytykuje Polskę, Polaków i Kościół.

To patriotyczne wrzenie, którego pilnuje IPN, przekłada się także na pamięć zbiorową w wymiarze lokalnym. Rękami i ustami swoich pracowników Instytut pilnuje etnocentrycznego charakteru polskiej pamięci, sukcesywnie zwalczając wszelkie alternatywne narracje. Co to znaczy? Na przykład to, że o drugiej wojnie światowej myślimy głównie z perspektywy Warszawy lub, co najwyżej, Krakowa. Tymczasem większość polskiego społeczeństwa żyła wówczas na prowincji, z dala od wielkich miast. Zapamiętali oni lata 1939-1945 — i tak też przekazali swoje wspomnienia kolejnym pokoleniom — zupełnie inaczej niż przez pryzmat powstania warszawskiego. Co więcej, IPN i jego nacjonalistyczni pobratymcy zdają się zapominać, że jeszcze do niedawna Polskę zamieszkiwały różne grupy etniczne i narodowe, których pamięć powinna zostać równouprawniona z pamięcią dominującej grupy. Nie wspominając nawet o pamięci kobiet czy osób LGBT. Tymczasem przez lansowaną przez siebie jedną wizję historii IPN nie tyle spycha te osoby na margines, co wręcz je zwalcza i wyklucza.

Ważną rolę w polityce historycznej odgrywa Kościół katolicki. Nic dziwnego. Jest to instytucja, która stała na straży porozumienia Okrągłego Stołu i transformacji, dbając nie tylko o własny interes ekonomiczny, ale także o odpowiednie miejsce w pamięci społeczeństwa. O jego sile w kształtowaniu wizji przeszłości można było się przekonać już ponad pół wieku temu — w 1966 r. Wówczas to, rządowym obchodom „Tysiąclecia Państwa Polskiego", hierarchia kościelna z sukcesem przeciwstawiła własne obchody „Millenium Chrztu Polski", które objęły cały kraj. Cóż zatem powiedzieć o okresie po 1989 r., kiedy każdy rząd czynił wszystko, co w jego mocy, aby zadowolić Kościół. W konsekwencji każde miasto i miasteczko posiada pomnik Jana Pawła II — w tym wiele postawionych jeszcze za życia papieża. Co więcej, na pozytywnym wspomnieniu Karola Wojtyły (budowanym nie tylko przez Kościół, ale ogół instytucji państwowych i samorządowych, na czele z mediami) hierarchowie kościelni próbują usprawiedliwić swoją silną pozycję w kraju. Także postawa Kościoła w latach PRL została zmitologizowana. Chociaż więc przeważnie biskupi dogadywali się z władzami komunistycznymi, a w Polsce nigdy nie zbudowano więcej świątyń niż za dekady Jaruzelskiego, to w powszechnej świadomości dominuje obraz Kościoła walczącego, nieugiętego obrońcy „prawdziwej" Polski.

Kontrnarracje

Na szczęście coraz częściej do sfery publicznej przebijają się alternatywne narracje historyczne. Wielkim sukcesem, przynajmniej w wymiarze medialnym, była akcja broniąca dobrego imienia „Dąbrowszczaków", czyli około 3 tys. polskich ochotników w wojnie domowej w Hiszpanii w latach 1936—1939. Od kilku lat trwa bowiem akcja ich zohydzania, prowadzona przez rządzącą prawicę i IPN, wynikająca zapewne z sentymentu, z jakim zaczęto w Polsce wspominać gen. Franco i faszystów. Dzięki jednak mobilizacji internetowej udało się uświadomić wcale nie małą część społeczeństwa, co przełożyło się na liczne protesty w obronie „Dąbrowszczaków". Chociaż więc nie wszędzie zdołano ocalić ulice ich imienia, to mimo wszystko można mówić o sporym sukcesie. Podobny wymiar miała akcja ratowania pomników 2. Armii Wojska Polskiego, postawionych przeważnie w zachodniej Polsce. To, co dla prawicy świadczy o „zniewoleniu Polski przez komunistów", dla mieszkańców tych ziem stanowi o ich tożsamości i historii.

„Kto kontroluje przeszłość, ten ma władzę nad przyszłością, kto kontroluje teraźniejszość, w tego rękach jest przeszłość" — te słowa George'a Orwella nie tylko nie straciły na znaczeniu, ale wręcz są dziś bardziej aktualne niż za życia brytyjskiego pisarza. Historia zdominowała politykę. W rzeczywistości, w której państwom coraz trudniej znaleźć uzasadnienie dla swojego istnienia, historia okazuje się niezwykle przydatna. Za jej pomocą można sterować strachami i nadziejami społeczeństwa, a przede wszystkim usprawiedliwić własną pozycję. Dlatego też każda próba zmiany istniejącego porządku musi zmierzyć się z dominującą narracją historyczną. Bez wygrania przeszłości, nie wygramy teraźniejszości. ★

STOP FERMOM



Protest mieszkańców Lubosiny (wieś w Polsce położona w województwie wielkopolskim)
źrodło: Koalicja Społeczna Stop Fermom Przemysłowym

Życie wielu ludzi skupia się wokół smrodu i walki o zamknięcie ogromnych zakładów hodowlanych. W całym kraju trawają protesty przeciwko istniejącym i nowo powstającym fermom przemysłowym. O problemie i związanym z nim ruchem społecznym rozmawiamy z Iloną Rabizo, aktywistką Otwartych Klatek.

„A-tak": Jak narodziła się Koalicja Społeczna Stop Fermom Przemysłowym?

Ilona Rabizo: Po założeniu stowarzyszenia Otwarte Klatki w 2012 roku i wydaniu pierwszego raportu dotyczącego przemysłu futrzarskiego zaczęliśmy dostawać zgłoszenia od mieszkańców wsi, w których miały powstać fermy norek, z prośbą o wsparcie. Dla nas, jako aktywistów prozwierzęcych, była to zupełnie nowa sytuacja. Dotychczas zajmowaliśmy się cierpieniem zwierząt, a tu nagle okazuje się, że fermy nie tylko krzywdzą zwierzęta, ale także ludzi. W kolejnych latach kontaktowali się z nami również mieszkańcy zagrożeni wielkimi fermami kur czy świń. Mówimy tu o potężnych instalacjach — nawet na kilka milionów zwierząt.

Wyobraź sobie, że mieszkasz na wsi liczącej stu mieszkańców, a nagle chcą w waszym sąsiedztwie postawić kurnik na siedem milionów kur. Przecież to jest katastrofa. I nawet jak cała wieś jest przeciwko, nawet jak sąsiednie wsie są przeciwko takiej inwestycji, to dalej nie jest to wystarczający powód, aby burmistrz czy wójt mógł wydać decyzję odmowną dla takiej fermy. Co więcej, zaczęliśmy dostrzegać, że nawet jeżeli mieszkańcom uda się zablokować budowę fermy norek, to za chwilę chcą im stawiać chlewnie czy kurniki. Doszliśmy do wniosku, że musimy się zjednoczyć, aby powstrzymać niekontrolowany rozrost ferm. Wspólnie z lokalnymi stowarzyszeniami i liderami protestów opracowaliśmy postulaty polityczne, a następnie założyliśmy Koalicję Społeczną Stop Fermom Przemysłowym.

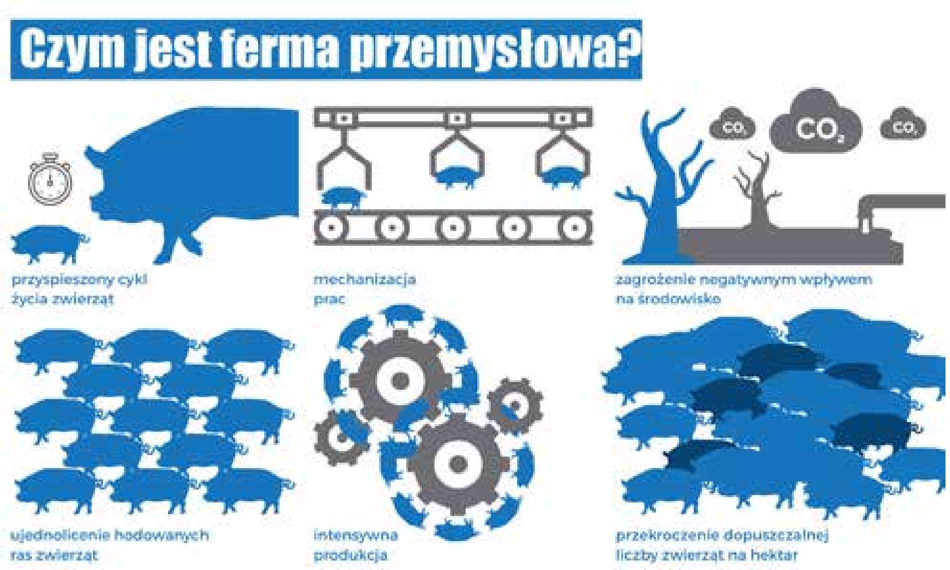
Na waszej stronie można naliczyć trzydzieści dwie organizacje z całej Polski. To chyba największa tego typu inicjatywa w naszym kraju?

W różnych miejscach w Polsce powstają komitety protestacyjne, czasem zrzeszone wokół problemu jednej fermy, a czasem całego rejonu. Przykładem może być protest mieszkańców trzech powiatów w województwie mazowieckim przeciwko ekspansji ferm na ich terenie. Koalicja Społeczna Stop Fermom Przemysłowym swoim zasięgiem obejmuje całą Polskę, ponieważ problem uciążliwego sąsiedztwa ferm występuje w całym kraju. Koalicja jest parasolem zrzeszającym pojedyncze protesty we wspólnej walce.

Przeciwko czemu ludzie głównie protestują?

Uciążliwości związane z sąsiedztwem przemysłowych ferm zwierząt wynikają głównie ze skali i systemu hodowli oraz przerzucania kosztów ukrytych na społeczeństwo i zwierzęta. Ceny nieruchomości znajdujących się w sąsiedztwie ferm drastycznie spadają, nawet o 50—70%. I jest to bardzo poważny problem, z którym mieszkańcy zostają sami. Nawet gdyby chcieli sprzedać swój dom i się wyprowadzić w mniej uciążliwe miejsce, nie mogą tego zrobić. I tu przechodzimy do sedna uciążliwości — smrodu. Odory, które wydostają się z samej fermy oraz z odchodów zwierząt, są często nie do zniesienia. Historie wielu rodzin sąsiadujących z megafermami są po prostu tragiczne. W jednej z miejscowości w województwie opolskim do byłego PGR-u wprowadzono świnie hodowane w systemie tuczu intensywnego. Mieszkańcy pamiętają jeszcze stary PGR, w którym również hodowano świnie, ale uciążliwość była nieporównywalnie mniejsza. Teraz całe ich życie skupia się wokół smrodu i walki o zamknięcie tej fermy. Dzieci, wchodząc do autobusu szkolnego, były wyśmiewane, bo śmierdziały chlewnią. Ludzie byli rozdrażnieni, nie mogąc zaznać chwili spokoju we własnym domu. Zamykanie okien nic nie dawało, smród docierał wszędzie. Tak po prostu nie da się żyć. Podobnych historii znamy mnóstwo. To nie są tzw. „złe jabłka", tylko problem hodowli przemysłowej.

Oczywiście smród i spadek wartości nieruchomości to nie jedyne powody, dla których ludzie nie chcą mieszkać w sąsiedztwie wielkich ferm. Rozjechane drogi, wzmożony ruch, hałas, brak możliwości rozwoju agroturystyki czy innych typów lokalnej przedsiębiorczości, plagowe ilości much i innych insektów, zanieczyszczenie powietrza, wód i środowiska, a przede wszystkim obawa o zdrowie swoje i bliskich, sprawiają, że ludzie poświęcają swój czas i pieniądze, aby nie dopuścić do powstania megaferm.



źrodło: Koalicja Społeczna Stop Fermom Przemysłowym

Do kogo należą fermy? Kto czerpie przede wszystkim zyski z wielkoprzemysłowej produkcji zwierzęcej?

W Polsce obserwuje się coraz większą koncentrację hodowli zwierząt. Drobni rolnicy są pokrzywdzeni, ponieważ wielkie firmy są w stanie obniżać ceny mięsa, sprawiając, że tylko hodowle przemysłowe mogą się utrzymać. Niedawno dostaliśmy zgłoszenie od drobnych rolników, którzy próbują nie dopuścić do powstania fermy na ponad cztery miliony kur. Boją się, że ich hodowla upadnie, krowy nie będą mogły się paść na dworze, a teren, na którym żyją, zostanie zdegradowany.

Prawie połowa mięsa wyprodukowanego w naszym kraju idzie na eksport. Wszelkie problemy, takie jak smród i zanieczyszczenie wód (związane z intensywną hodowlą), zostają w Polsce, a wąska grupa potentatów dalej się bogaci. Tanie mięso w rzeczywistości nie jest tanie, jeżeli uwzględnimy ukrywane i spychane przez przemysł koszty.

Monitorujecie konflikty społeczne wokół ferm przemysłowych. Wybuchło ich w ostatnich latach kilkaset. Mogłabyś podać najbardziej charakterystyczne przykłady tego typu protestów, do jakich doszło w 2018 r.?

W zeszłym roku odebraliśmy około pięćdziesięciu zgłoszeń z prośbą o wsparcie protestujących mieszkańców. Głównie dotyczyły one kurników i chlewni. Media alarmują o nieopłacalności hodowli świń i o zagrożeniach wynikających z ASF (afrykański pomór świń), a my dostajemy ciągle zgłoszenia w sprawie nowych chlewni. I to takich olbrzymich, nawet na ponad dziesięć tysięcy zwierząt.

Skala hodowli przeraża jeszcze bardziej w przypadku drobiu. W miejscowości Wróblewo ma powstać ferma na prawie 2,5 miliona kurczaków hodowanych tylko w jednym cyklu. Teren wokół Wróblewa już jest — wydawać by się mogło — maksymalnie „zafermiony".

Innym przykładem są miejscowości wokół Bydgoszczy, w których też mają powstać kurniki. Na miejscu działa wspaniałe stowarzyszenie „Prądki Nasz Dom", które nie tylko zablokowało powstanie fermy w swoim najbliższym otoczeniu, ale pomaga też sąsiednim miejscowościom zmagającym się z tym samym problemem. Każdy protest różni się od siebie, choć problemy, jakie spotykają mieszkańców, są łudząco do siebie podobne, dlatego tak ważne jest wprowadzenie systemowych zmian.

Jak oceniasz w ogóle skuteczność protestów antyfermowych?

Przede wszystkim dzięki protestom udaje się zablokować wiele inwestycji. Część z nich już nigdy nie powstanie, część będzie lokowana w innym miejscu. Istnieją już zagłębia kurze w Polsce. Ludzie na co dzień stykają ze skutkami życia w sąsiedztwie megaferm. Głośno o nich mówią, starają się nagłośnić problem. Dzięki temu poszerza się świadomość mieszkańców wsi o zagrożeniach wynikających z tego typu hodowli. Niestety same protesty nie wystarczą. Musimy zmienić prawo, aby zatrzymać ekspansję ferm w Polsce.

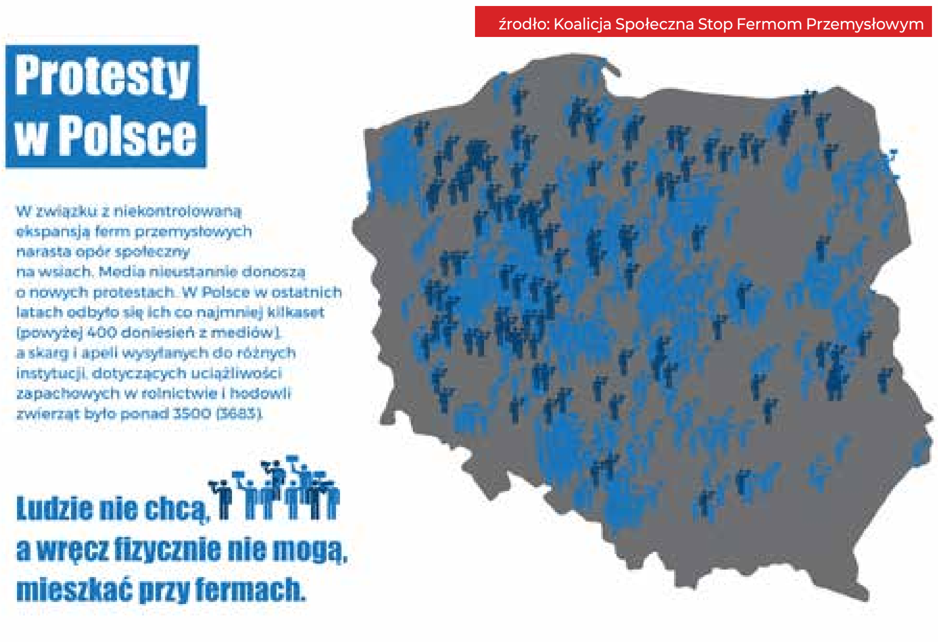
Czy liczycie na jakieś zmiany systemowe?

Chcemy ustalić minimalne odległości budowy ferm od budynków mieszkalnych. W tej chwili praktycznie ferma może powstać tuż za twoim płotem. Samo odsunięcie nie wystarczy, dlatego należy też określić minimalne odległości ferm od siebie nawzajem, tak żeby nie dochodziło do kumulacji oddziaływań, aby nie powstawały „zafermione" rejony. Chcemy także, aby uzależniono wielkość fermy od posiadanych gruntów. Dzięki temu unikniemy przenawożenia gleb i wód. Jeżeli hodowca chce mieć dwa tysiące kurczaków, musi posiadać cztery hektary ziemi. Dokładnie jest to 2 DJP (duża jednostka przeliczeniowa) na hektar. Ostatni postulat dotyczy ochrony miejsc cennych krajobrazowo i przyrodniczo. Fermy powstają nawet na terenie Natura 2000!

Jak można się zaangażować w działania koalicji?

Zachęcamy do odwiedzenia strony **www.stopfermom.pl** oraz naszego profilu na Facebooku i Twiterze. Na stronie znajduje się petycja z naszymi postulatami, materiały informacyjne, a także mapka ukazująca skalę protestów. Jeżeli ktoś chciałby się aktywnie włączyć w pracę Koalicji — gorąco zapraszamy do współpracy. Można się z nami skontaktować przez formularz umieszczony na stronie interentowej lub napisać na: **koalicja.spoleczna@gmail.com**. ★

źrodło: Koalicja Społeczna Stop Fermom Przemysłowym



NIEWOLNICTWO PO POLSKU

Tania siła robocza — to tak w Polsce mówi się o ludziach, którzy przybyli zza wschodniej granicy i wykonują ciężką fizyczną pracę za głodowe stawki. Najczęściej bez ubezpieczenia, pod groźbą deportacji i w ciągłym upokożeniu. To o nich jakiś czas temu mówiono, że kradną Polakom pracę, a teraz twierdzi się, że są niezbędni, bo polska gospodarka bez nich runie. Oddelegowywani są do pracy, której Polacy w tym kraju już wykonywać nie chcą, bo zachodnie rynki oferują lepsze wynagrodzenie. Tysiące Białorusinów i Ukraińców, zatrudnianych przez agencje pracy, są regularnie okradane z zarobionych pieniędzy lub nie otrzymują wynagrodzenia, bo przedsiębiorstwa nie podpisują z nimi umów. Tak Polska buduje swój „kapitał".

Przychodnia

Darmowa siła robocza

Sonia to 30-letnia doświadczona pracownica sektora gastronomicznego. Ma na swoim koncie własny biznes — wegańską restaurację w centrum Petersburga i współprowadzenie knajp ze znajomymi. Mówi po rosyjsku, angielsku i całkiem nieźle po polsku. W Polsce wyszła za mąż i z tym krajem wiąże swoje plany. Jak dotąd żaden pracodawca nie zaproponował jej umowy o pracę:

— Zawsze słyszę to samo: „później podpiszesz". Tłumaczą się trudną sytuacją materialną, chwilowymi problemami w działalności, a ja przecież każdego dnia widzę, jakie są obroty w miejscu, w którym pracuje. Koleżanki, obywatelki Polski, dostają propozycję zawarcia umowy zlecenia. Mnie nie zaproponowano nawet tego.

Restauracja Soni w Rosji miała się całkiem nieźle do czasu zarządania od niej zapłaty haraczu przez miejscową mafię:

— Klasyczna opłata za tzw. „opiekę" nad biznesem. Nie miałam pieniędzy, by zapłacić, więc z żalem porzuciłam restaurację. Państwo rosyjskie jest powiązane ze światkiem mafijnym, więc nie można liczyć na jego pomoc. Sądziłam, że w Polsce sytuacja jest lepsza.

Kobieta po przyjeździe do Warszawy znalazła dobrze płatną pracę w jednej z położonych w centrum stolicy knajp. Zaproponowano jej stanowisko szefowej kuchni. Właściciel podczas rozmowy o pracę oferował 5 tys. zł na miesiąc przy zachowaniu ośmiogodzinnego dnia pracy.

— Z dnia na dzień szef dokładał mi obowiązków — mówi Sonia. — Z kuchni musiałam wkrótce wyjść i stanąć za barem, aby za chwilę przejąć obowiązki menadżerki sali. Z ośmiu godzin zrobiło się dziesięć. Obsługiwaliśmy duże imprezy, lokal wciąż był wynajmowany, wydawałoby się, że prosperuje świetnie. Byłam w szoku, gdy zgłosił się do mnie właściciel kamienicy z zapytaniem, kiedy uregulujemy czynsz — wspomina kobieta, która postanowiła zapytać o sytuację materialną w knajpie. — Usłyszałam od szefa, że nie ma pieniędzy. Ani na czynsz, ani na pensje.

Sonia przez 6 tygodni pracowała bez umowy, a co za tym idzie — bez ubezpieczenia. W podobnej sytuacji znaleźli się inni pracownicy lokalu — żaden z obywateli Ukrainy, Białorusi czy Rosji nie posiadał umowy.

— Gdy w knajpie pojawiali się pracownicy sanepidu czy straży pożarnej dostawali łapówkę i odchodzili bez słowa. Szef powiedział nam, że pieniędzmi jest w stanie zatkać usta każdemu urzędnikowi. I jeśli przyjdzie nam do głowy zgłaszać cokolwiek, to prędzej grozi nam deportacja niż otrzymanie wynagrodzenia — żali się Sonia, której szef nie zapłacił ponad 6 tys. zł. Kobieta aktualnie zatrudniona jest w restauracji wegańskiej w Śródmieściu, gdzie pracuje po kilka godzin dziennie, także bez umowy.

— Pewnie, że boję się, że mi nie zapłacą, choć staram się odbierać „tygodniówki". Tak, jak ja, funkcjonują setki pracowników zza wschodniej granicy; często jesteśmy nie „tanią", ale „darmową siłą roboczą". Może otwarcie się rynku niemieckiego i odpływ robotników z Polski jest w stanie coś zmienić w podejściu do pracownika ze Wschodu?



To była twoja ręka

Wlad po raz pierwszy trafił do Polski w zeszłym roku, z wizą turystyczną w kieszeni. Kolega z Mińska odstąpił mu na dwa tygodnie miejsce pracy na budowie, bo sam musiał poddać się hospitalizacji w Białorusi. Wiza turystyczna nie upoważnia do podjęcia pracy, ale Wlad od początku wiedział, że pracodawca nie zaoferuje umowy:

— Kontrakt w Polsce to dla obywateli Białorusi jakiś luksus. Nikt nawet nie wspomina o umowie, bo wychodzi się z założenia, że Białorusini przyjeżdżają w charakterze robotnika tymczasowego, żeby sobie dorobić. Poza tym załatwianie papierów potrzebnych do podjęcia pracy zarobkowej jest czasochłonne i pracodawca nie czeka na kogoś, kto chce podjąć pracę legalnie.

Wlad ma 38 lat i jest ojcem dwójki dzieci. Jego żona od kilku lat zajmuje się prowadzeniem domu i opieką nad córkami oraz chorą matką. Kobieta dorabia w sezonie letnim przy sprzedaży warzyw i owoców, co pozwala na krótki czas załatać dziurę w domowym budżecie. Wlad pracował w Grodnie jako mechanik samochodowy, jednak jego zakład pracy został zlikwidowany.

— Od czasu do czasu wpadała jakaś ekstra robota i po nocy, w garażu, naprawiało się samochody kolegów. Naprawiałem auta także w Polsce; w biały dzień, u prywaciarza. Jedyną umowę, jaką miałem z szefem to — „znikasz, gdy pojawia się kontrola".

Praca zawsze była „nagrywana" przez kolegów — ktoś dostał ofertę, ktoś coś wiedział, pokierował i od jutra można było zacząć. Dwa tygodnie tu, tydzień tam. A w międzyczasie składało się papiery o przedłużenie wizy. Wlad przepracował na wizach turystycznych ponad siedem miesięcy. Do czasu wypadku na budowie:

— Tego dnia kładliśmy więźbę dachową. Padał deszcz, było dość ślisko. Wszyscy pracowaliśmy w trampkach, bez żadnych zabezpieczeń. Ciężkie belki wciągaliśmy na linach i układaliśmy konstrukcję. Mieliśmy skończyć wcześniej ze względu na pogodę, ale szef nalegał, by zrobić chociaż połowę roboty — wspomina Wlad. — Podczas wciągania kolejnej belki kolega się poślizgnął i puścił drewnianego kloca, który przygniótł mi rękę. Nikt nie wezwał pogotowia, szef odwiózł mnie do domu, a po drodze w aptece kupił żel na kontuzje i bandaż.

Następnego dnia Wlad trafił na pogotowie. Diagnoza — zmiażdżona dłoń:

— Lekarze zastanawiali się, czy amputacja będzie konieczna. Błagałem ich żeby ratowali moją rękę, bo bez niej nie będę w stanie utrzymać rodziny. Przez całe życie byłem robotnikiem fizycznym! — denerwuje się Wlad, który dziś nie ma czucia w dłoni. — Miałem to szczęście, że koledzy zebrali pieniądze na szpital, inaczej nikt by mnie tam nie przyjął! Mój szef przestał odbierać ode mnie telefony, a gdy spotkałem go na placu budowy powiedział, że trzeba było uważać na swoją rękę...

Niestety, nie ma żadnych dowodów na to, że mężczyzna pracował w firmie budowlanej — żadnych dokumentów czy smsów od szefa. Nikt z pracujących na budowie i obecnych przy wypadku nie zgodził się świadczyć w sądzie przeciwko pracodawcy. Wlad wkrótce wróci do Grodna — bez pieniędzy i perspektyw na dalsze zatrudnienie.

Niewolnictwo po polsku

— W Białorusi mamy spory związek zawodowy, skupiający ponad 6 tys. członków. Rozsądni ludzie się tam nie zapiszą, bo to propaństwowa instytucja, która ma podtrzymywać fikcję o białoruskiej demokracji — tłumaczy Andriej, działacz opozycji. Zaraz po studiach został aresztowany za udział w antyrządowej pikiecie. Po zwolnieniu z więzienia postanowił ubiegać się o status uchodźcy politycznego i wyjechać do Polski.

— Zdobyłem potrzebne dokumenty, jestem uchodźcą w dalszym ciągu zaangażowanym w walki polityczne za wschodnią granicą — mówi mężczyzna i odpala kolejnego papierosa. — Oczywiście w Polsce musiałem podjąć pracę, żeby móc się utrzymać. Miałem dość przebywania w hotelach czy na stancjach, gdzie w jednym pokoju nocuje po pięć osób, nie ma ciepłej wody i ogrzewania, są pluskwy i szczury, na ścianach grzyb. Warszawa, XXI wiek — w hotelach robotniczych dochodzi do handlu ludźmi, bo ruska mafia kontroluje „swoich" obywateli. W takich warunkach nie da się funkcjonować.

Andriej wraz z uzyskaniem statusu uchodźcy politycznego zyskał prawo do pracy w Polsce bez ubiegania się o specjalne zezwolenie. Podjął pracę w jednej ze znanych sieci sklepów spożywczych, gdzie właściciel zaoferował mu miesięczny okres próbny w magazynie. Andriej, który opuścił ośrodek dla uchodźców, potrzebował funduszy na opłacenie pokoju w hotelu robotniczym:

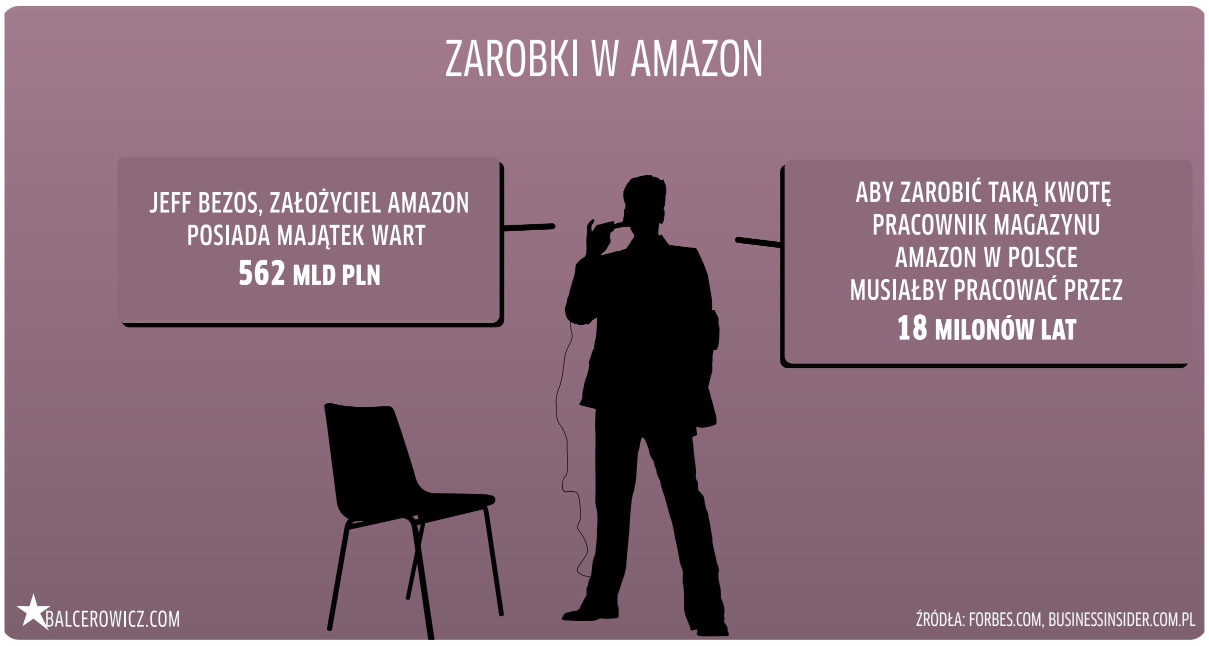
— Wziąłbym wtedy wszystko, cokolwiek by mi zaoferowano, bo chciałem rozpocząć normalne życie w Polsce. W sklepie przepracowałem miesiąc i mi podziękowano, właściciel powiedział, że ze względu na słabą znajomość języka polskiego, co jest bzdurą, bo po polsku mówiła moja babcia i przy niej uczyłem się języka.

Mężczyzna wylądował w końcu na budowie, gdzie pracował przy lżejszych pracach, jednak po 11 godzin dziennie i za stawkę 10 zł na godzinę. W jego grupie było kilku Polaków i kilkunastu Białorusinów i Ukraińców, nikt z nich nie miał podpisanej umowy. Aby wejść na teren powstającego biurowca należało okazać specjalną plakietkę ze zdjęciem i danymi osobowymi:

— Oczywiście, dostałem taką „legitymację", jednak z danymi innego człowieka. Właściciel stosował strategię wypłacania pieniędzy po 100 lub 200 zł; tak, abyśmy nigdy nie dostali całości. To powoduje, że w firmie wciąż trzymają cię te niewypłacone pieniądze, a jednak coś na przeżycie dostajesz. Nie możesz powiedzieć, że nie płacą. Na początku byłem zły na ekipę, że się nie buntują, ale potem zrozumiałem, że oni mają rodziny na utrzymaniu, ślą pieniądze do domów, a za resztę kupują wódkę i nie dopuszczają do siebie myśli, że są oszukiwani.

Z budowy odszedł z powodu głodowej pensji i z poczuciem braku solidarności robotników:

— Nie chodzi o to, że trzeba zaraz się zapisywać do związku zawodowego. Człowiek Wschodu nie wierzy w moc takich organizacji, bo ma słabe doświadczenia. Chodzi o jakąś ludzką solidarność, załatwianie spraw na własną rękę, ale w pięć, dziesięć osób. Państwo Polskie nam w niczym nie pomoże, bo Polacy żerują na taniej sile roboczej. U was wszystko kwitnie, bo macie robotników ze wschodu, którzy wam pobudują za 1/3 stawki, ale opłacić im ubezpieczenia i dać godną pensję to was na to nie stać... — mówi z żalem Andriej. ★

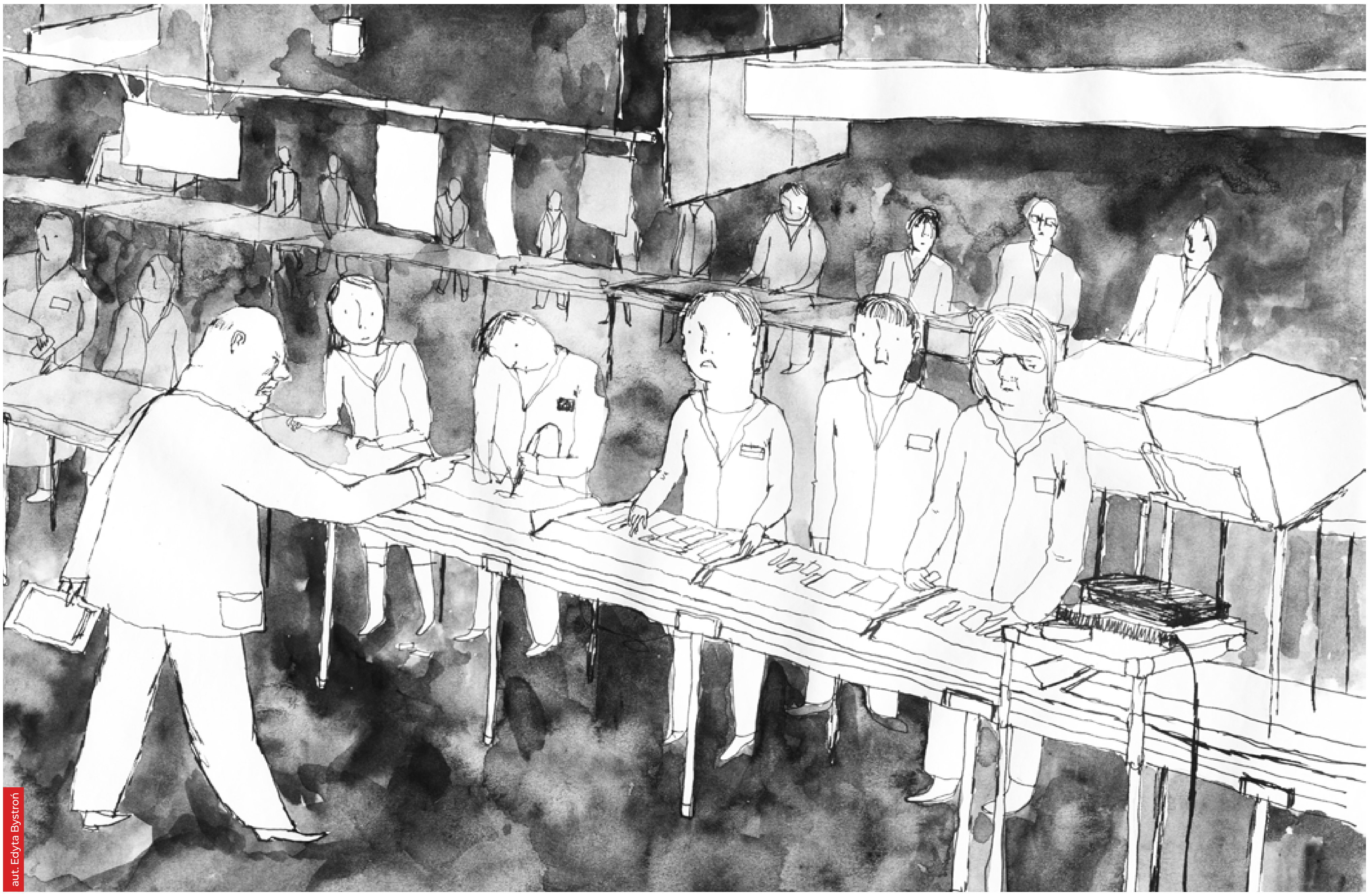


W KIERACIE… FABRYKI TELEWIZORÓW

Na marginesie książki Ilony Rabizo *W kieracie ubojni. Zwierzęta i ludzie w przemyśle mięsnym*

Czytając książkę *W kieracie ubojni*, nie zdziwiłem się, że takie miejsca jak ubojnie generują mnóstwo odpadów, które uprzykrzają życie mieszkańcom w okolicy — od dawna wiem, że według sanepidu „smród to nie zanieczyszczenie". Nie zdziwiło mnie też to, że władze bagatelizują to, co ubojnia (poza wspomnianym już smrodem) emituje, a są to m.in.: pyły, tlenki siarki i azotu, wszelkiego rodzaju gazy cieplarniane, siarkowodór itd. To wszystko jest oczywiście oburzające, do tego cierpienie zwierząt jest nie do opisania. Jednak Rabizo zwróciła uwagę na bardzo istotną kwestię, rzadko poruszaną przy okazji omawiania tego typu tematów — na wyzysk ludzi w przemyśle mięsnym. Zatrudniła się w ubojni drobiu, aby przekonać się, jak wygląda praca w takim miejscu. Przypomniało mi to czas, kiedy i ja znalazłem się w kieracie…

Pracownik nieetatowy



aut. Edyta Bystroń

Toruń, wrzesień 2008 roku. Mam 19 lat. Po wakacjach tracę pracę w sklepie monopolowo-spożywczym na starym mieście; miesiąc jako magazynier i miesiąc jako kasjer, oczywiście na czarno. To był okres próbny, po którym miałem dostać umowę o pracę. Jednak, jak to często bywa, zrobiłem „coś nie tak" i na moje miejsce znaleziono kogoś, kto oczywiście zaczął pracę od okresu próbnego… Wtedy kolega poinformował mnie, że kilka kilometrów za Toruniem jest fabryka telewizorów Sharpa. „Spoko robota — powiedział. — Mnie wrzucili do działu sortowania śrubek. Luzik, będzie fajnie. Dostaniesz legalną pracę". Dał mi kontakt do Manpower, agencji pracy, przez którą miałem zostać zatrudniony w fabryce.

Udałem się na rozmowę do agencji. Przed starym ceglanym budynkiem stał tłum ludzi; większość była ode mnie starsza o jakieś 10 czy 20 lat, choć widziałem tam też ludzi w wieku emerytalnym. Kiedy przyszła moja kolej, wszedłem do pokoju. Za biurkiem siedziała pani, która podała mi śrubokręt, kilka dużych śrubek i rozłożony na sześć części plastikowy kwadrat. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem, po czym wziąłem to wszystko i chwilę później kwadrat był już złożony do kupy. Pani zanotowała, że moje „zdolności manualne" są wystarczające i mogę udać się na badanie lekarskie… piętro wyżej. Gdy już wszedłem do „gabinetu", pan doktor spojrzał na mnie i zapytał: „Nie masz problemów z kręgosłupem?". Odpowiedziałem, że nie. On wziął kartkę, na której napisał: „zdolny do pracy". Przybił pieczątkę i tyle. Byłem zatrudniony.

W fabryce pracowało się na dwie zmiany: 6—14 i 14—22; co tydzień na innej (choć wiem, że niektórzy dobrowolnie pracowali po prostu szesnaście godzin). Żeby dojechać z rana do Łysomic, gdzie do dziś znajduje się fabryka, musiałem wstać przed czwartą rano, aby koło piątej odjechać busem wynajętym przez agencję. W busie widziałem pełno zmęczonych twarzy, ale ja byłem podekscytowany. Kiedy już dojechaliśmy, ujrzałem budynek przypominający wielkie, płaskie, białe pudełko bez okien — mina mi trochę zrzedła. Pierwsze dwa dni były teoretycznym szkoleniem BHP. Pokazywano nam slajdy, na których omówiono, działy znajdujące się w fabryce (sortowanie śrubek, łączenie układów scalonych, montaż przy taśmie, pakowanie). Czekałem, kiedy ktoś zapyta, gdzie ja chcę pracować, ale się nie doczekałem. Trzeciego dnia dostałem biały fartuch i rękawiczki, które miały przed czymś mnie chronić, wpuszczono do głównej hali i tyle — do roboty!

Po tylu latach nie pamiętam dokładnie, którego dnia i jak długo wykonywałem daną czynność. Po prostu stawiano mnie w konkretnym miejscu i mówiono: „Pracuj". Ja oczywiście nie wiedziałem, co mam robić, więc pytałem innych pracowników, niektórzy mówili, że nie mają czasu, inni na szybko tłumaczyli: „Bierzesz to i to, łączysz z tym i tym". Były to na pewno:

1) wkręcanie śrubek w jadące na taśmie moduły ekranów; 2) zdejmowanie ekranów z taśmy i montowanie plastikowych obudów; 3) przenoszenie 40-calowych telewizorów z taśmy na taśmę; 4) pakowanie takich telewizorów do kartonów; 5) obsługiwanie owijarki do kartonów i pakowanie ich do tira.

Jak można się domyślić, pewne czynności wykonywałem pierwszy raz w życiu, więc robiłem to wolno. Nie nadążałem za tempem taśmy i kiedy np. wkręcałem śrubki, to moduł był już poza moim zasięgiem. Patrzyłem na innych, a oni w skupieniu, z pochylonymi głowami pracowali jak roboty. „Szybciej, bo zaraz przyjdzie kierownik — powiedział do mnie zdenerwowany, około 40-letni pracownik. — I narobisz nam wszystkim problemów". No i przyszedł ten kierownik, krzycząc już z daleka. Po chwili przeniósł mnie na inne stanowisko. Kilka razy dziennie byłem w innym miejscu fabryki. I tak było każdego dnia. Kiedyś zostaliśmy o godzinę dłużej w pracy, bo nie wyrobiliśmy normy (chyba 2 tys. TV na zmianę — to jakieś 15 sekund na jeden egemplarz).

Kiedyś kierownik, kiedy przenosiłem największe telwizory i bałem się je zepsuć, zaczął się drzeć: „Szybciej, cieniasie! Jak ty będziesz nosił narzeczoną na rękach? Przecież ona cię wyśmieje! Szybciej!". Odpowiedziałem mu: „Nie może pan tak do mnie mówić! Jestem może młody, ale legalnie zatrudniony. Mam swoje prawa!". Po chwili przeniósł mnie na stanowisko montowania obudów, gdzie było chyba najwolniejsze tempo. Tam pracowała 40-letnia kobieta. „Słuchaj — powiedziała mi na ucho — ja pracuję tu od 4 lat. Ty tu nie pasujesz…". Zdziwiłem się i zaptałem: „Dlaczego? To chyba praca jak każda inna?". Ona odpowiedziała: „Nie, bo tu ludzie godzą się na to, że się na nich krzyczy. Jesteś pierwszą osobą, która zwróciła uwagę kierownikowi. Myślę, że po okresie próbnym nie przedłużą ci umowy".

Byłem tym wszystkim bardzo zaskoczony i każdego dnia coraz bardziej zmęczony. Ponieważ całą pracę wykonywało się na stojąco, skóra z moich stóp była pokryta bąblami i schodziła całymi płatami. Palce, dłonie, ręce i ramiona nieprzyzwyczajone do takiego wysiłku po pracy nie nadawały się do niczego (rok wcześniej podczas wakacji zmywałem gary w Anglii i to było moje jedyne doświadczenie), a grałem wówczas na gitarze i nie byłem w stanie dobrze chwycić akordu. Nie mówiąc już o kręgosłupie — nikt mi nie pokazał, jak prawidłowo podnosić ciężkie przedmioty. W trzecim tygodniu pracy, wziąłem dwa dni wolnego, udając, że mam grypę… Szalę goryczy przelało wydarzenie jednego z ostatnich dni września. Znów wkręcałem śrubki w moduły. Raptem kobieta stojąca przy taśmie kilkanaście metrów ode mnie przewróciła się na plecy. Zbiegło się kilku kierowników, krzycząc: „Pracować, pracować, nic się nie stało!". Zabrali te kobietę, a za chwilę usłyszeliśmy nadjeżdżającą karetkę. Następnego dnia, podczas krótkiej przerwy na papierosa, młody chłopak powiedział mi: „Mój ojciec pracuje w szpitalu, do którego ją zawieziono. Ona nie żyje… od porażenia prądem". Mnie prąd również poraził kilka razy, w zasadzie nie wiem jak, ale chyba jakieś obudowy taśmy były nieszczelne. Dałem sobie spokój po około miesiącu.

Kiedy na początku października przyszła wypłata, zaniemówiłem. Miałem zarobić ponad tysiąc złotych, ale dostałem kilkaset. Dziś już dobrze nie pamiętam, ale jestem pewien, że agencja pracy coś sobie potrąciła. Może też dostałem jakąś karę za niesubordynację?

Podsumowując: podobnie jak w przypadku ubojni, w której pracowała Ilona Rabizo, na mnie również krzyczano, nie pokazano mi co dokładnie mam robić i obarczono tym innych pracowników, bolało mnie całe ciało przez nienaturalne i prawdopodobnie źle wykonywane ruchy, nie miałem czasu rozmawiać z pracownikami o warunkach pracy.

Później pracowałem też w różnych miejscach, choć okazało się, że kapitalistyczny wyzysk spotykał mnie niemal na każdym kroku. Jeśli was to zainteresowało, to zachęcam do lektury mojego poprzedniego tekstu: „Doktorant — pracownik nieetatowy" (***A-tak***, nr 8, s. 5—6). ★

Przywitanie z bronią

Po 2014 r. Ukraina stała się niewidocznym arsenałem. To — z jednej strony — powoduje, że władza usiłuje przejąć kontrolę nad nielegalnym handlem bronią, z drugiej zaś odbiera Ukraińcom zagwarantowane w art. 27 Konstytucji prawo do samoobrony. Przy tym w prawodawstwie ukraińskim nie istnieje ustawa, która by regulowała obrót materiałów wybuchowych, broni czy amunicji, a dostęp do broni palnej w państwie zwycięskiego Euromajdanu jest stosunkowo łatwy.

Aleksander Łaniewski





Nie ma przestępstwa bez ustawy

Obecnie na Ukrainie posiadanie i obrót bronią palną reguluje tzw. Instrukcja, którą zatwierdzono rozporządzeniem MSW Ukrainy w 1998 r. Mimo zgłaszanych do Rady Najwyższej projektów ustawy, składanych do prezydenta petycji i konfliktu zbrojnego na wschodzie państwa kwestia wolnego dostępu do broni palnej wciąż pozostaje nierozstrzygnięta.

W wolnym dostępie dla osób pełnoletnich pozostaje broń pneumatyczna, broń gazowa wymaga już pozwolenia, z kolei broń traumatyczną (na gumowe kule) mogą mieć wyłącznie niektóre grupy osób (np. organy porządku publicznego i ich najbliższa rodzina, dziennikarze, deputowani, wojskowi). Dla Ukraińców posiadanie określonych rodzajów broni palnej jest możliwe po uzyskaniu szeregu zaświadczeń oraz po odpowiednim przeszkoleniu. Teoretycznie w MSW można otrzymać licencję na władanie gładkolufową bronią myśliwską (po ukończeniu 21 lat) oraz półautomatyczną z lufą gwintowaną (po ukończeniu 25 lat).

Według prawa jako broń palną określa się wyłącznie sprawną i kompletną broń — i tylko taka podpada pod artykuły Kodeksu Karnego Ukrainy (KKU). Owa definicja pozwala na nabycie broni nie jako całości, lecz w częściach. Z tego powodu na specjalnym forum internetowym Reibert.info oraz comiesięcznych zjazdach miłośników broni sprzedaje się różne jej części. Na przykład kupując zamek i szkielet pistoletu od jednego sprzedawcy, u innego należy dokupić tylko lufę — i prymitywny pistolet jest praktycznie gotowy do użycia (kupno nabojów również nie jest problemem). Uzbroić się można także na czarnym rynku, gdzie za Kałasznikowa zapłacimy między 500 a 700 dolarów, a za pistolet Makarowa około 200 dolarów.

Sprzedaż kontrolowana

Chociaż SBU stwarza pozory kontroli nad nielegalnym obrotem bronią oraz od czasu do czasu organizuje „rozbrojenia" handlarzy, jest to raczej walka prowizoryczna, mająca na celu nie likwidację zjawiska, ale zdobycie korzyści materialnych. Świadczy o tym chociażby kilka głośnych historii dotyczących trzech hadlarzy-kolekcjonerów bronią: Andrija Kutina, Oleksyja Demjańczuka i Antona Primuszko. Mimo legalnej działalności niezależnie od siebie każdy z nich znalazł się na celowniku SBU. W trakcie rewizji służby specjalne „skonfiskowały" handlarzom dosłownie wszystko: od pozbawionych cech bojowych makiet broni przez rzadką broń kolekcjonerską z XIX w. aż po pieniądze i alkohol. Co ciekawe, za jakiś czas niektóre egzemplarze zabranej broni pojawiały się na aukcjach internetowych. Nie pomógł handlarzom, a nawet zaszkodził fakt, że byli związani z ukraińskimi oddziałami ochotniczymi w Donbasie oraz posiadali trofea wojenne, z których część przygotowywali do oficjalnego przekazania MSW w Kijowie. Dziwnym trafem przed oddaniem trofeów SBU zagubiły się dokumenty na broń, która tym sposobem stała się „nielegalna". To z kolei dało prawo na przeszukanie mieszkań kolekcjonerów, konfiskatę broni oraz zrobienie w wiadomościach pokaźnego materiału propagandowego mającego unaocznić społeczeństwu efektywność SBU w walce z terroryzmem.

Takie sytuacje na Ukrainie zdarzają się regularnie. Owe machinacje służb specjalnych starają się nagłaśniać niektórzy dziennikarze. Na ich pytanie o nadużycia służbowe w szeregach SBU owa struktura odpowiedziała, że od lipca 2015 r. wszczęto około stu spraw karnych wobec funkcjonariuszy, z których 1/3 otrzymała wyroki. O szczegółach takich spraw, rzecz jasna, społeczeństwo nie ma prawa wiedzieć. Prokuratura z kolei zamyka oczy na wszystkie nadużycia swoich kolegów, gdyż obie struktury mają ścisłe powiązania.

Szabel nam nie zabraknie?

Zgodnie z 263 art. KKU za nielegalne posiadanie, przechowywanie oraz sprzedaż broni grozi od trzech do dwunastu lat pozbawienia wolności, lecz ukraińska władza żyje nie tylko konfiskatami broni. W ostatnich latach MSW organizuje comiesięczne zbiórki broni od społeczeństwa, zresztą nieraz pozostaje zagadką dalszy los oddawanej broni. Według oficjalnych danych w maju 2018 r. do oddziałów MSW przyniesiono 6553 sztuki broni (pistolety, strzelby, karabiny), a z nielegalnego obrotu konfiskowano tylko 553 sztuki broni i amunicji.

W 2018 r. w liczącym ponad 40 mln mieszkańców państwie na rękach Ukraińców znajdowało się blisko 893 tys. sztuk oficjalnie zarejestrowanej broni myśliwskiej i gładkolufowej. Dane szwajcarskiej organizacji Small Arms Survey, która monitoruje przemieszczanie się nielegalnej broni w świecie, mówią o dodatkowych 3 do 6 mln sztuk nielegalnej broni na Ukrainie. Podobną liczbę (ok. 5 mln sztuk) podaje szef Ukraińskiego Związku Właścicieli Broni Georgij Czajkin. Z kolei przedstawiciel organizacji społecznej „Prawa Sprawa", ekspert wojskowy Dmitrij Snegiriow podkreśla, że broń w ręce obywateli trafia przede wszystkim ze wschodu, co świadczy o nieefektywności i skorumpowaniu systemu punktów kontrolnych między strefą operacji wojskowej a resztą kraju. Skutki tego zjawiska odzwierciedlają się w przestępstwach z użyciem broni palnej, które są odnotowywane praktycznie codziennie w całym kraju. Ponadto, zdaniem eksperta, nie wszystkie ukraińskie magazyny z bronią doczekały się inwentaryzacji, a odbywające się w ostatnich latach w tych magazynach eksplozje (Kalinówka, Bałaklija, Drużba) mogą wskazywać na zamiatanie śladów po nielegalnym handlu bronią.

Co na to Ukraińcy?

Zagorzałym przeciwnikiem wolnego handlu bronią palną wciąż pozostaje prezydent oraz — jeżeli ufać danym zgromadzonym przez Fundację „Inicjatywy Demokratyczne" im. Ilka Kuczeriwa — około 82% Ukraińców. Głosy o legalizację rynku zbrojnego natomiast podnoszą zarówno prawicowe, jak i niektóre lewicowe partie i organizacje. W momencie, gdy odbywają się legalne pikiety i debaty w telewizji, anarchiści umieszczają w Internecie filmiki z ćwiczeniami z użyciem broni palnej w lasach, a prawicowe bojówki rzucają granatami w policję. Zdaje się, że stopniowo wzrastająca liczba zwolenników legalnego handlu bronią jest przeważnie wynikiem braku zaufania ze strony społeczeństwa do policji oraz liczby przestępstw (w tym zabójstw) z użyciem broni palnej.

Można zauważyć fakt, że aktualnie na Ukrainie każdy, kto chciał wejść w posiadanie broni, już to zrobił. Poczynając od lat 90. XX w. broń sprzedawano wprost z magazynów, a po 2014 r. tendencja ta nasiliła się wielokrotnie. Pamiętać należy także o tym, że w trakcie „rewolucji godności" zajmowano magazyny SBU i MSW, z których „rewolucjoniści" zawłaszczyli setki sztuk broni, przeważnie pistoletów. Echo tamtych wydarzeń dotychczas pobrzmiewa w wiadomościach kryminalnych. Trudno przesądzać w jaki sposób w Kijowie zostanie rozstrzygnięta kwestia legalizacji broni palnej, ale jedno jest pewne — Ukraińcy coraz aktywniej wkraczają do strefy monopolu na przemoc, którym władza nie zamierza się dzielić. ★

Jaka niepodległość?

Polscy nacjonaliści obrali sobie za cel wykorzystanie obchodów odzyskania przez Polskę niepodległości do propagowania swojej ideologii. Dla mnie to „oczywista oczywistość", ale wielu moich rozmówców uważa, że gadam głupoty. Dziwią się również, kiedy pytam ich: „Jaka niepodległość?".

Kapitan Flint

Kto za tym stoi?

W 2011 r. powstało Stowarzyszenie Marsz Niepodległości (dalej SMN) — sama nazwa to marketingowy majstersztyk. Pisząc to, nie przesadzam. Na ich stronie internetowej można przeczytać, że organizacją wydarzenia od początku zajmują się Młodzież Wszechpolska i Obóz Narodowo-Radykalny, a SMN to „oficjalny organizator marszu, skupiający w swoich szeregach działaczy tychże organizacji narodowych". Mimo tego wielu moich rozmówców — jak i setki osób dyskutujących na ten temat w internecie, telewizji i na łamach gazet — uważa, że łączenie wydarzenia z poglądami jego organizatorów to błąd i na pewno są uczciwi w swoich intencjach. Obrońcy marszu nie chcą przyjąć do wiadomości, że biorąc w nim udział, legitymizują działania wspomnianych ugrupowań politycznych. Ba! Uważają nawet, że gdy uczestniczą w Marszu Niepodległości i raptem pojawia się na nim stuosobowa grupka z krzyżami celtyckimi i transparentami typu „Europa będzie biała albo bezludna", to jest to jakiś wariacki wybryk i SMN nie ma z tym nic wspólnego... Niestety — jest wręcz przeciwnie. To nacjonaliści są główną częścią marszu, liczebnie marginalną, ale za to idącą z przesłaniem, które w innej sytuacji byłoby jednoznacznie dyskwalifikujące dla całego wydarzenia. A co z „rodzinami z dziećmi", tak często przywoływanymi na dowód tego, że Marsz Niepodległości nie jest faszystowski? Po pierwsze — są zasłoną dymną. Po drugie — czy te „rodziny" nie widzą później zdjęć i nagrań, które pokazują organizatorów marszu i ich gości (w roku 2018 byli to m.in. włoscy neofaszyści z Forza Nuova)? Dlaczego zamiast spojrzeć prawdzie w oczy, mówią o „lewackich prowokacjach" i „nierzetelnych zagranicznych dziennikarzach"? Może wstyd im przyznać, że rasizm i nacjonalizm to część polskości?

Ugrupowania polityczne mają to do siebie, że realizują swoje programy i idee w niekoniecznie uczciwy sposób. I tu wracam do marketingowego majstersztyku, jakim jest nazwa Stowarzyszenie Marsz Niepodległości. Ona tak dobrze działa na społeczeństwo, że można ją porównać do reklamy dezodorantu — nawet jeśli ludzie dowiadują się, że firma jest nieuczciwa, robi testy na zwierzętach itd., to sama reklama i jakość produktu są na tyle przekonujące, że klienci stwierdzają: „to pewnie jakieś nieporozumienie lub jednorazowe zajście". W przypadku SMN mówią, że „przecież organizuje to Stowarzyszenie, a nie te grupy" oraz że „w nazwie jest Marsz Niepodległości, a nie Marsz Wyznawców Białej Supremacji".



aut. Edyta Bystroń

Naprawdę niepodległość?

Na początku należy się zastanowić nad znaczeniem samego słowa, którym tak swobodnie posługują się obecnie nam rządzący oraz SMN. „Według Wielkiego Słownika Języka Polskiego" niepodległość to: „cecha państwa lub narodu, które nie zależą pod względem politycznym od innego państwa lub narodu". Czy tzw. III RP pasuje do tej definicji? Nie będę się silił na historyczno-politologiczną analizę ostatnich stu lat (w rzetelny i jednocześnie zabawny sposób przedstawił to Paweł Ziółkowski w tekście „100 lat niczego" w internetowej wersji Mać Pariadki), chcę jedynie zaznaczyć obszary, które (o dziwo!) zaskakiwały moich rozmówców:

PAŃSTWO. Czy człowiek bity przez policję rozważa to, kto trzyma pałkę w ręku (zaborca, komunista, kapitalista, Polak)? Czy ludność, do której strzela wojsko, zastanawia się, jaką ideologię wyznaje ich oprawca? Każda władza podczas tych „100 lat od odzyskania niepodległości" (II RP, PRL, III RP) używała środków przymusu.

KAPITALIZM. Trudno mówić o niepodległości, kiedy jesteśmy skazani na ucisk ekonomiczny. Dopóki wyzyskują nas kapitaliści, dopóty będziemy im podlegli. Gdy jednak polscy pracownicy (zatrudnieniu w polskich lub zagranicznych firmach) walczą z wyzyskiem, są uznawani za nierobów i darmozjadów — a nacjonaliści nie podnoszą problemów pracowniczych podczas swoich wystąpień.

RELIGIA. Ucisk moralny to nie wolność, lecz niewola. Każdy człowiek ma prawo tworzyć i kultywować własną religię — nikt nie ma jednak prawa narzucać jej innym. Ruch anarchistyczny odrzuca patriarchalne, hierarchiczne i totalitarne formy duchowości. Przeciwstawia się również państwom wyznaniowym, gdyż są one kolejną forma ucisku.

Gdzie dwóch się bije...

Na Marszu Niepodległości z powodów ideologicznych nie byłem. Nie uczestniczyłem również w demonstracji Koalicji Antyfaszystowskiej, gdyż: 1) nie ma dla mnie alternatywy wobec nacjonalizmu — po prostu trzeba się go pozbyć; 2) bujanie się w rytm muzyki (nie ważne czy to punk, czy techno) nie jest dla mnie działaniem antyfaszystowskim. Chciałbym tylko zwrócić uwagę zarówno lewicy, jak i prawicy, a także wyznawcom innych poglądów politycznych — kiedy szarpiecie się o hasła, z których przeważnie niewiele wynika, a całość wydarzenia „ochrania" policja, to zastanówcie się, kto jest tym przysłowiowym trzecim, który na tym korzysta...

Za puentę (i podpowiedź) niech posłuży fragment wiersza Stanisława Barańczaka pt. „XI": *Lecz uśmiech prezentera / wyjaśniał: nie czas na Sąd / Sąd będzie, lecz nie teraz / tymczasem zaś przejdźmy stąd / od razu do świata rozrywki / a potem — pogoda i sport / prognoza pogody i sport.*

P.S. O telewizji internetowej Stowarzyszenia Marsz Niepodległości pisałem w artykule „Media Narodowe. Część 1 — skrajna prawica zmienia wizerunek" (***„A-tak"***, nr 9, s. 13; warto również zajrzeć na fanpage „A-taku", gdzie znajdziecie rozszerzoną wersję tego tekstu). W kolejnym numerze ***„A-taku"*** zamierzam przedstawić następną część pt. „Sekta z posoborowego matrixa". ★

Przeciw brutalności policji i rozbijaniu Marszu dla Klimatu

8 grudnia 2018 roku w Katowicach, w ramach szczytu klimatycznego ONZ COP24, odbył się Marsz dla Klimatu. W szerokiej koalicji protestujących składających się z wielu organizacji ekologicznych i społecznych uczestniczyli również przedstawiciele środowisk wolnościowych, anarchistycznych i antykapitalistycznych. Blok antykapitalistyczny utworzony przez wspomniane środowiska był integralną częścią Marszu dla Klimatu — szedł na końcu, zamykając liczący około trzech tysięcy uczestników protest.

Federacja Anarchistyczna – sekcja Poznań, www.rozbrat.org



Choć w zapowiedziach organizatorów cała inicjatywa od początku do końca miała mieć charakter pokojowego przemarszu, to do jego „ochrony" zgromadzono olbrzymie siły policyjne, zupełnie nieadekwatne do jego rozmiarów i planowanego przebiegu. Poza umundurowanymi funkcjonariuszami, uzbrojonymi we wszelkie możliwe środki do tłumienia zamieszek, obecnych było niezwykle dużo funkcjonariuszy nieumundurowanych (tzw. „tajniacy"). Zachowanie policji wyraźnie eskalowało napięcie wśród uczestników protestu. Funkcjonariusze „po cywilnemu" ostentacyjnie obnosili się z posiadanymi pałkami teleskopowymi, fotografowali i filmowali protestujących, jednocześnie ignorowali wszelkie zapytania o powody swoich działań, zapytania o legitymacje służbowe, czy też o owe obnoszenie się wobec protestujących z posiadanym uzbrojeniem. Policja chciała chyba wykazać, że jej tak liczna obecność na marszu jest niezbędna, choć jego przebieg absolutnie temu zaprzeczał. Nie sprawdziła się, najwyraźniej przyjęta przez służby teza, że protest może być niebezpieczny dla uczestników konferencji klimatycznej czy mieszkańców aglomeracji. Marsz przebiegał w sposób pokojowy i bez jakichkolwiek zakłóceń lub agresywnych zachowań ze strony jego uczestników i uczestniczek.

Okazało się, że jedynym agresorem na owym marszu byli funkcjonariusze, obecni tam rzekomo dla zapewnienia bezpieczeństwa. W połowie trwania manifestacji — na wyraźny sygnał tzw. „tajniaków" — grupa policjantów pionu prewencji ruszyła w kierunku uczestników bloku antykapitalistycznego, rozbijając jego szyk przy pomocy tarcz i pałek, wyciągnęła z tłumu jednego z protestujących. Powodem tego działania (jak po fakcie tłumaczyli policjanci) było rzekome podejrzenie posiadania przez zatrzymanego niebezpiecznych przedmiotów. Przeszukanie aktywisty nie potwierdziło tych podejrzeń, za to towarzyszyły temu liczne obelgi funkcjonariuszy skierowane w stronę zatrzymanego, szarpanie i nieudzielanie informacji dotyczących przyczyny agresywnych działań policji.

Jednocześnie atak policji musiał spotkać się z reakcją innych uczestników protestu. Oczywistym jest, że starano się nie dopuścić do bezzasadnego zatrzymania. Sytuacja była bardzo dynamiczna, policja użyła środków przymusu bezpośredniego, a tłum ludzi musiał reagować choćby w obronie przed ciosami „rozdawanymi" przez mundurowych. W powstałym zamieszaniu, wśród okrzyków domagających się wypuszczenia zatrzymanego, policji udało się wyciągnąć kolejne trzy osoby spośród protestujących. W ich przypadku zatrzymanie przebiegało jeszcze brutalniej. Jedna z osób była chwycona od tyłu i wleczona po ziemi, nie mając żadnej możliwości obrony — choć oczywiście wedle doniesień policji właśnie ta osoba jednocześnie biła policjantów rękoma (mimo że trzymała cały czas w ręce flagę i była ciągnięta po ziemi przez kilku nieumundurowanych policjantów).

Działania policji doprowadziły do solidarnościowej akcji protestujących, początkowo polegającej na tym, że część osób usiadła na ulicy w ramach tzw. sittingu domagając się uwolnienia zatrzymanych osób. W tym czasie policja szczelnym kordonem odgrodziła blok antykapitalistyczny od trzonu manifestacji. Działania te doprowadziły do zatrzymania całego Marszu dla Klimatu. Organizatorzy i pozostali manifestanci podjęli wspólnie decyzje, że manifestacja nie ruszy dopóki nie zostanie wyjaśniona sytuacja zatrzymanych osób.

Przeciągające się negocjacje z policją skutecznie sparaliżowały dalszy protest. Policja usiłowała manipulować informacjami udzielanymi protestującym i doprowadzić do sytuacji, w której czoło demonstracji będzie kontynuować Marsz, a odcięty przez policję Blok pozostanie na miejscu. Gdyby do tego doszło Blok Antykapitalistyczny, po oficjalnym zakończeniu Marszu, zostałby uznany za „nielegalne zgromadzenie", a osoby w nim uczestniczące zatrzymane. Ostatecznie — mając na uwadze zarówno groźby eskalacji działań policji, jak i jej zapewnienia o wypuszczeniu zatrzymanych osób — Blok zdecydował wraz z organizatorami o kontynuowaniu Marszu dla Klimatu. Jednocześnie podjęto też decyzję o zorganizowaniu pokojowego protestu pod komisariatem, na który przewieziono zatrzymanych. Protest pod komisariatem, w którym wzięła udział część manifestujących, trwał blisko trzy godziny. W trakcie tych działań policja ponownie nadużyła swoich uprawnień, utrudniała kontakt zatrzymanych osób z adwokatem i rodziną, nie udzielając informacji o ich sytuacji.

Efektem końcowym było postawienie zarzutu utrudniania działań funkcjonariuszy dwojgu z zatrzymanych osób i zarzutu czynnej napaści na funkcjonariusza jednej osobie. Jeden z aktywistów został mocno poturbowany podczas zatrzymania, w związku z czym zaraz po wyjściu z komisariatu udał się do szpitala, by zrobić obdukcję. Kuriozalny jest fakt, że interwencja, która stała się pretekstem do eskalacji działań policji, była całkowicie bezzasadna, a osoba, wobec której ją podjęto, została wypuszczona bez postawienia zarzutów jeszcze w trakcie trwania manifestacji.

Podsumowując: jest dla nas jasne, że kolejny raz to siły policji, mające rzekomo ochraniać czy to uczestników legalnego i pokojowego protestu, czy osoby postronne, faktycznie dążą do konfrontacji, użycia przemocy i wykorzystania swoich uprawnień celem rozbicia protestu.

Nie ma naszej zgody na rozbijanie manifestacji i bezzasadne zatrzymywanie jej uczestników czy uczestniczek. Nie ma naszej zgody na przemoc wobec zatrzymywanych osób, groźby, łżenie i obelgi. Nie ma naszej zgody na po raz kolejny wysuwane przez policję oskarżenia wobec zatrzymanych. Nie ma naszej zgody na kłamstwa i manipulacje w wykonaniu policyjnych specjalistów od public relation próbujących ferować wyroki wobec zatrzymanych i zakłamujących faktyczny obraz przebiegu protestu, jak i działań policji. Jasno deklarujemy solidarność z oskarżonymi osobami, będziemy wspierać je i informować o wszelkich działaniach podejmowanych w ich obronie.

Nie damy się stłamsić ani zastraszyć! Solidarność naszą bronią! ★

Sprawiedliwość kontra uczciwość

Rzecz o tym, dlaczego nie każdy chce umierać za „wolne sądy”

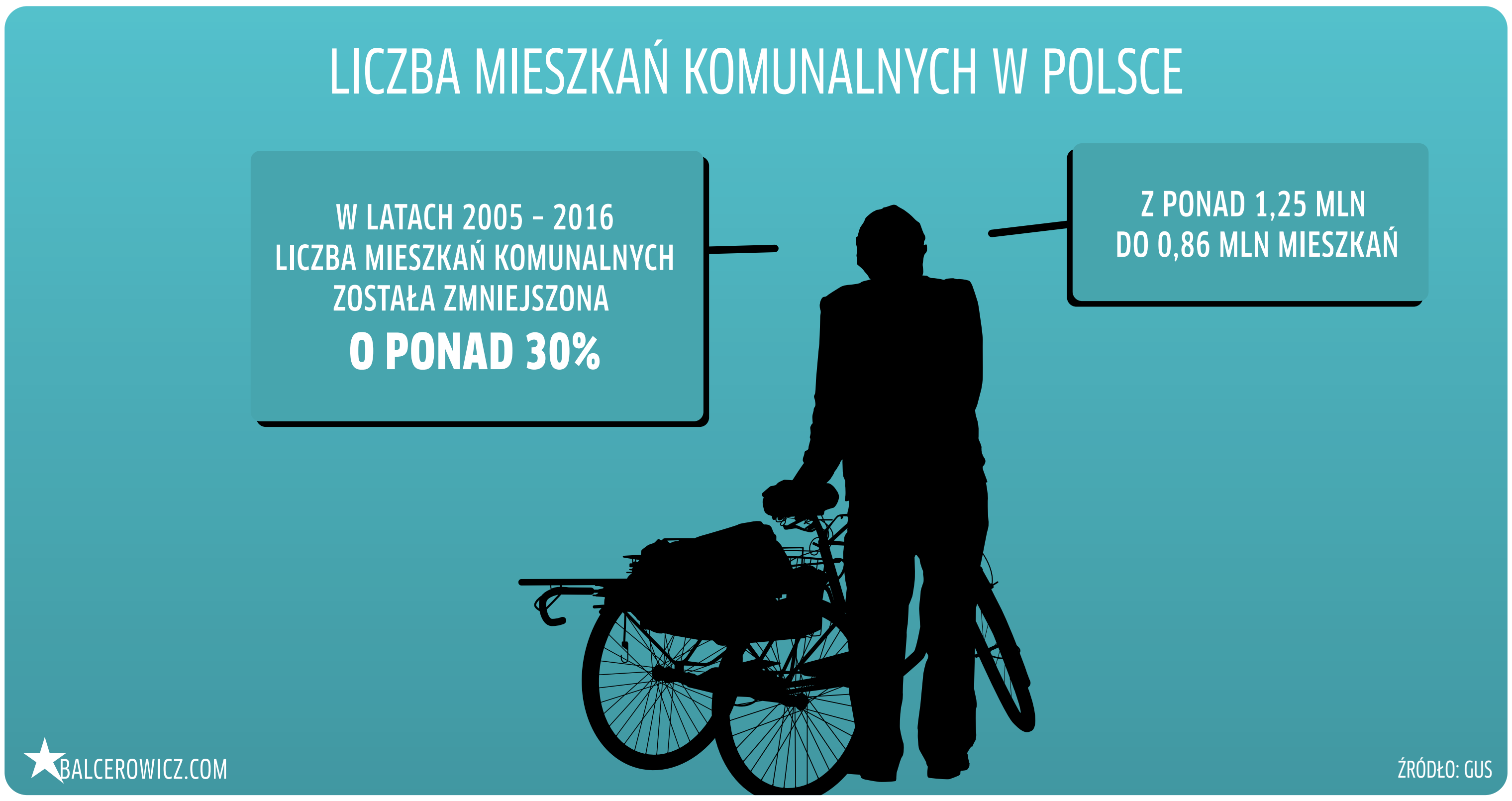
We wrześniu 2017 roku na ulicach polskich miast pojawiły się liczne billboardy reklamujące PiS-owską reformę sądownictwa. Z wielkich czarno-białych tablic krzyczały do nas wyraźne, poważne — przynajmniej jeśli chodzi o wybór fontu — napisy: „Sędziowie o sobie: »nadzwyczajna kasta«”, „Niech zostanie tak jak było…”, „W sądach czekasz na sprawiedliwość latami” itd. Liberalne i lewicowe media grzmiały wówczas, że jest to paskudna manipulacja, oczywista nieprawda, a rząd wyrzuca pieniądze na nienawistne kampanie kreowane przez instytucję, która powinna zajmować się zupełnie czymś innym. I choć argumenty płynące z lewa — tudzież ze środka — można niewątpliwie uznać za sensowne oraz uczciwe (tym bardziej przyjmując anarchizującą optykę oglądu sfery polityczności), to głosy oburzenia na polskie sądownictwo nie powinny wywoływać aż takiego zdziwienia wśród szeregów „szarych polskich obywateli”. Bo sądownictwo w Polsce to siedlisko patologii i dla każdego nieuprzywilejowanego osobnika z PL w paszporcie powinno być to kwestią oczywistą.

D. B.

Nepotyzm oswojony

Choć korci mnie, by w prezentowaniu niniejszej wykładni posłużyć się „gotowcami” z tekstów teoretycznych, które mogę uznać dziś za opiniotwórcze — przynajmniej dla mojego obecnego światopoglądu — to jednak postaram się skupić tu na „maksymalnie logicznej” argumentacji, zrozumiałej dla każdego czytelnika, bez podobnego zaplecza lekturowego, jak moje.

Dlatego też zaczynam od kwestii nepotyzmu. Jest wiele zawodów, gdzie kwestia przejmowania rzemiosła „z ojca na syna” czy (w mniejszym stopniu) „z matki na córkę” nie tylko nie wzbudza w nas negatywnych odczuć, ale wręcz przyjmowane jest jako coś pozytywnego. Gdy tatuś przekazuje swój rzemieślniczy zakład synowi, to odbieramy takowy gest jako coś rodzinnego, wdzięcznego, wartościowego dla kultury i społeczeństwa. Jednak w sytuacji, gdy polityk przekazuje stery nad swoim np. biurem poselskim synowi, to wówczas włącza się nam już „alarm nepotyzmu”, zaczynamy drążyć sprawę, sprawdzać kompetencje latorośli i spekulować o ewentualnych układach, powiązaniach itd. Czym zatem różni się specjalizacja posła od specjalizacji szewca? Oczywiście — głównie zakresem przypisanej „władzy” danemu stanowisku. Niestety, pojmowanie dziedziczności stanowisk jest normowane w głównej mierze kulturowo, stąd też powiązania rodzinne prokuratorów są postrzegane niemal w równym stopniu, co familijne koneksje szewców. Do tego dochodzi jeszcze kumoterstwo, kolesiostwo, „stare znajomości” itd. Wobec takich zastrzeżeń bez większego problemu wybronić się może np. „ród adwokatów” (których w pewnym stopniu weryfikuje ta kuriozalno-korwinistyczna „ręka wolnego rynku”). Jednak rodziny sędziowskie i prokuratorskie „osiadające na powiatowych laurach”, muszą już na poważnie zmierzyć się z powyższymi zarzutami. Reasumując, może warto przemyśleć billboardowe zagadnienie „kastowości” raz jeszcze, mając z tyłu głowy fakt trójpodziału WŁADZY?



Kapitalistyczne perpetuum mobile dla bogatych

„Ślachetne zdrowie,/ Nikt się nie dowie,/ Jako smakujesz,/ Aż się zepsujesz (…)” — pisał niespełna pół tysiąca lat temu Jan Kochanowski, odwołując się do znanego powszechnie doświadczenia. Dla lepszego zobrazowania niniejszego argumentu, pragnę odwołać się do przywołanego cytatu, podstawiając pod „zdrowie” np. „karalność” bądź — ogólnej — inicjację „szarego obywatela” w kontaktach z wymiarem sprawiedliwości.

Zwizualizujmy sobie zatem następującą sytuację: stoicie sobie z antyfaszystowskimi transparentami obok trasy „patriotycznego przechodu”, organizowanego przez pewną szowinistyczną organizację; policja zatrzymuje was za blokowanie owego marszu; następnie stajecie przed sądem za sprawą dość wątpliwego paragrafu; otrzymujecie wyrok na podstawie zapisu prawnego, który nie istnieje (bo przepisy zmieniły się kilka lat temu); apelację zgłasza jednocześnie wasz adwokat i prokurator; stajecie znów przed sądem, tym razem przed wyższą instancją; sąd apelacyjny ogłasza warunkowe umorzenie sprawy, koszty postępowania musicie jednak pokryć z własnej kieszeni. W wyniku błędów zaistniałych w procedurach wymiaru sprawiedliwości, wezwanie do zapłaty nie zostaje dostarczone na wasz adres. Jednak dwa miesiące później do twoich drzwi puka komornik z poleceniem zapłaty, do którego zostaje doliczone pół tysiąca „haraczu komornika”. Oczywiście znów możecie się sądzić z Pocztą Polską, że nie doręcza wam przesyłek, a z sądem — że nie dopilnował wszystkich procedur. To jednak znów generuje koszty. A w związku z tym, że wywaliliście już ponad dwa tysiące na adwokata, to postanawiacie dać sobie spokój i zapłacić należne komornikowi i wszystkim pozostałym, by znów nie brać urlopów na żądanie w robocie na dzień rozprawy (lub w wyniku dalszych błędów sądu i prokuratury — dalsze dni rozprawy), wpłacać kolejnych kwot na konto adwokata i narażać się na następne kosztowne (dla ciebie i reszty podatników) pomyłki wymiaru sprawiedliwości. Czy brzmi to jak totalna fikcja? Czy takie nagromadzenie absurdu nie wydaje się właściwe jedynie dla świata przedstawionego w kafkowskiej prozie? Otóż nie… Przedstawione powyżej wątki możemy odnaleźć w doświadczeniach niemal 4 z 5 osób stających przed wymiarem sprawiedliwości. W moich również.

Hierarchiczny system państwa wytworzył genialną machinę do zarabiania pieniędzy. W starciu z Molochem możesz wygrać zazwyczaj „rację”, jednak prawie zawsze wiązać się to będzie ze stratami materialnymi. Zapłacisz adwokatowi, sędziemu, prokuratorowi i innym urzędnikom aparatu państwowego. Jednak oni w 99% przypadków nigdy nie poniosą kosztów swoich pomyłek — po prostu sprawa trafi do wyższej instancji. Takie to wolne sądy utrzymywane są z twoich podatków. Ponadto, podczas procesu to ty będziesz doświadczał wszelakich możliwych opresyjnych form przemocy aparatu państwowego, a wymiar sprawiedliwości w pięknych togach będzie chroniony wytworzonymi przez siebie przepisami. Jeśli masz dużo pieniędzy, nie odczujesz zbytnio tych opresji. Jednak kiedy jesteś osobą, dla której wyrzucenie kilku tysięcy złotych na prawników stanowi problem, to przemoc wymiaru sprawiedliwości wymierzona w twoim kierunku będzie bardziej odczuwalna.

„Państwo prawa” vs anarchia czyli opresyjność vs wolność

Zatem czy reforma wymiaru sprawiedliwości w Polsce jest konieczna? Moim zdaniem — TAK! Jednak — czy reforma wymiaru sprawiedliwości w formie prezentowanej prze PiS jest właściwa? Zdecydowanie — NIE! Nie miejmy złudzeń, że jakakolwiek forma hierarchicznej władzy może zostać uznana za odpolitycznioną, tylko ze względu na semantyczne czy kulturowe pojmowanie „niezawisłości sądownictwa”.

Reforma PiS dotyczyła przede wszystkim najwyższych szczebli wymiaru sprawiedliwości, potrzebnych rządowi w procesie przejmowania całkowitej kontroli nad państwem. Dla „szarego obywatela” postawionego przed wymiarem sprawiedliwości zmiany te w większości przypadków nie będą miały większego znaczenia. Przed ustalonymi w ramach umowy społecznej zasadami sprawiedliwości musi więc odpowiadać również sam wymiar sprawiedliwości (wszyscy jego przedstawiciele). Tylko tak możemy osiągnąć równość i uczciwość, a nie pojmowaną przez pryzmat „hierarchicznego układu” „sprawiedliwość”.

Warto zatem walczyć z zagęszczaniem polityczności wymiaru sprawiedliwości w wykonaniu PiS, lecz nie dziwmy się również temu, że ci „szarzy obywatele”, którym było dane ścierać się z władzą sądowniczą, są za tym by tę władzę unicestwić… ★




Osiedle Molenvliet – w ramy konstrukcji i instalacji wpisane są indywidualne rozwiązania mieszkańców

Technologie współudziału

Najważniejszą z reakcji na modernistyczne projekty ekspertów, planistów i urzędników było pojawienie się silnej świadomości znaczenia lokalnej wspólnoty, prawa do różnorodności poglądów, innego rozumienia nowoczesności i racjonalności. Ta nowa postawa oznaczała zrozumienie wagi konsultacji z użytkownikiem i znaczenia odpowiedzi ludzi, których zdanie nie było do tej pory brane pod uwagę — pomimo tego, że mowa była o ich domach, ich okolicy i ich jakości życia.

Mateusz Gierszon


Wohnregal w Berlinie, w ramy konstrukcji wpisano mieszkania dowolnie kształtowane przez lokatorów

Sytuacja, w której architekt może poznać pomysły i opinie przyszłych mieszkańców podczas projektowania osiedli mieszkaniowych, jest niezwykle rzadka, ograniczona do kilku sytuacji, np. kiedy — jak w przypadku poprzednio omawianego projektu Byker Wall w Newcastle („A-tak", nr 9, s. 14) — osiedle planowane jest w miejscu starej dzielnicy mieszkalnej, a projekt zakłada, że dotychczasowi mieszkańcy zostaną na miejscu lub gdy kooperatywa mieszkalna zawiązała się wcześniej niż projektowanie zabudowy, a także w przypadku projektowania dla ofiar katastrof. W większości projektów praktyka uniemożliwia jednak spotkanie architekta z mieszkańcami przed przystąpieniem do projektowania. Dla mieszkańców oznacza to najczęściej jedynie dowolność kształtowania ścian działowych w obrębie mieszkania. Projektowanie na podstawie konsultacji ma jeszcze jedną wadę, zwłaszcza przy budownictwie komunalnym: dostosowuje mieszkanie tylko do pierwszego lokatora. Czy możliwe jest zatem budownictwo elastyczne, tworzone z udziałem mieszkańców?

Jednym z rozwiązań jest zaproponowanie mieszkańcom systemu, w ramach którego mogą dostosować budynek do swoich potrzeb. To znaczy systemu, w którym mieszkańcy mają taki zakres władzy i umiejętności, że mogą wykonać najważniejsze elementy swojego domu sami i w przyszłości będą mogli je zmieniać. Jest to chyba najprostsze z dostępnych rozwiązanie problemu dostosowania mieszkań i budynków mieszkalnych do indywidualnych potrzeb mieszkańców. Najprostsze z dostępnych — co nie znaczy, że proste. Pojawiają się problemy braku wiedzy i doświadczenia mieszkańców, potrzeba nauki rzemiosła, problem niemożliwości budowy domów przez część mieszkańców, kwestie ochrony pożarowej, jakości budowlanej, bezpieczeństwa konstrukcji, ergonomii, ekonomii i estetyki żywiołowej architektury. Mnóstwo zupełnie podstawowych problemów. Znane są jednak racjonalne, pomysłowe próby rozwiązania ich, z zachowaniem znacznego zaangażowania mieszkańców na etapie projektu i budowy oraz zachowaniem możliwości stosunkowo łatwego wprowadzania znacznych zmian w przyszłości.

Najprościej mówiąc, mamy dwa podejścia:

1) System konstrukcyjny na tyle łatwy, lekki i prosty, by mieszkańcy, używając zestandaryzowanych i łatwo dostępnych elementów budowlanych, mogli brać udział w projektowaniu, budować sami i w przyszłości przebudowywać swoje domy. Standaryzacja elementów i systemu zapewnić ma jakość architektoniczną, budowlaną czy ergonomię.

2) Najważniejsze elementy budynku: ściany nośne, dachy i fundamenty, klatki schodowe i podstawowe piony instalacji zaprojektowane są i wykonane przez profesjonalistów, a mieszkańcy biorą udział w projektowaniu tej „ramy" i sami w jej obrębie dowolnie kształtują wnętrza mieszkań i elewację. Tutaj z kolei „rama" zapewnia podstawowy standard.

Systemy te zazwyczaj zakładają dodatkowo łatwą możliwość łączenia mieszkań, ponieważ z racji tego, że przeważnie wykorzystywane są w budownictwie wielorodzinnym, trudno jest zakładać rozbudowę mieszkań.

Tak zaprojektowanym systemem budowy jest system SAR (Stichting Architecten Research — pol. Fundacja Badań Architektonicznych) autorstwa Johna Habrakena, holenderskiego architekta, który w ciągu swojej kariery zawodowej badał różne strategie projektowania partycypacyjnego. Jako dyrektor SAR wydał jedną z najważniejszych w tej dziedzinie prac: „Supports: An Alternative to Mass Housing" (pol. Wspacie: Alternatywa dla masowego budownictwa) z 1961 roku, w której zaproponował opisywaną wyżej metodę budowy. Podobny sposób myślenia można odnaleźć także w późniejszych projektach berlińskiego Wohnregal z 1986 r. autorstwa architektów Kjella Nylunda i Christofa Puttfarkena oraz we współczesnych projektach osiedli socjalnych pracowni Elemental.

W metodzie SAR podział strukturalny na ramę konstrukcji i instalacji oraz wypełnienie wykończenia wnętrz i elewacji odzwierciedlony był także w podziale na inwestora instytucjonalnego (rama), który zapewniał oparte na masowej produkcji rozwiązania budowlane i technologiczne, zapewniające rozwiązania normatywne, ergonomiczne i bezpieczne pod względem pożarowym oraz na inwestora prywatnego (wypełnienie), posiadającego indywidualne środki i społeczną infrastrukturę. Jak twierdzi architekt, model ten pod względem ekonomicznym wytwarza wartość dodaną, ponieważ skupia rozproszone, indywidualne środki poszczególnych mieszkańców, dzięki którym każdy z osobna nie byłby w stanie zbudować własnego domu i łączy je planową infrastrukturą, dzięki czemu obniża nakłady.

Podział na ramę i wypełnienie odzwierciedlał też stopnie partycypacji mieszkańców: urbanistyka i rama projektowane były na zasadzie warsztatów partycypacyjnych z pierwszeństwem jednak dla decyzji eksperckich architektów i inżynierów, wypełnienie natomiast na zasadzie projektowania dla indywidualnego inwestora z pierwszeństwem dla decyzji poszczególnych mieszkańców.

Jednym z najważniejszych przykładów osiedla stworzonego metodą SAR jest osiedle Molenvliet w Papendrecht obok Rotterdamu z roku 1974. Mimo że autorem osiedla nie jest Habraken, a Frans van der Werf, to jest to pierwsze zrealizowane osiedle, w którym została zachowana podstawowa zasada ramy i wypełnienia. Proces zaangażowania użytkownika w zakresie podejmowania decyzji rozpoczynał się już na etapie projektowania planu osiedla i przestrzeni publicznych. Zespół zabudowy dopasowany do otaczających domów powstał wokół czterech podwórek. Następnie przyszli mieszkańcy brali udział w ustalaniu podstawowych wytycznych dla ramowej struktury, zastosowano mieszkania dwupiętrowe i galeriowy system zabudowy, rezygnując z klatek schodowych. Każdy z mieszkańców wychodzi z domu na zewnątrz, co potęguje wrażenie, że każdy mieszka w domku szeregowym. Następnym etapem było przejście do indywidualnego projektu mieszkania. Rama obejmowała: ściany i słupy konstrukcyjne, stropy i galerie zewnętrzne, schody, spadziste dachy i płaskie tarasy dachowe, drewniane słupy jako podkonstrukcję pod elewację i kanały serwisowe z instalacjami. Projekt nie obejmował jednak współudziału mieszkańców w budowie. Zindywidualizowane elementy projektu, jak fasady i ściany działowe, budowane były przez profesjonalne ekipy. ★


Osiedle Molenvliet

FASZYZM/ANTYFASZYZM W KINIE, cz. 5

„KONFORMISTA" (1970)

Lata 70. to bogata dekada — jeśli chodzi o kino rozliczające się (w różny sposób) z przeszłością i dziedzictwem faszyzmu. W poprzednim numerze „A-taku" przybliżaliśmy twórczość Liny Wertmüller, reżyserki łączącej w swej twórczości fascynację radykalną lewicą z freudowską koncepcją erosa/thanatosa. Szczególną uwagę poświęciliśmy jednemu filmowi, w którym tematyka antyfaszystowska wysunięta została na plan pierwszy: pokazywanej w ramach II Anarchistycznego Festiwalu Filmowego „Miłości i anarchii" (1973). Tym razem sięgamy po twórczość zmarłego niedawno Bernardo Bertolucciego, włoskiego scenarzysty i reżysera. W swych wczesnych filmach spoglądał na antyfaszyzm z pozycji psychoanalitycznej i komunistycznej. Za klasycznego reprezentanta tego nurtu uznaje się „Konformistę" (Il Conformista) z 1970 r.

Krzysztof Kołacki

AWANGARDOWE POCZĄTKI – MARKS, PASOLINI I NOWA FALA

Bernardo Bertolucci był synem włoskiego poety i krytyka Attilio Bertolucciego. Od najmłodszych lat miał kontakt z filmem. Attilio był entuzjastą kina, przyjacielem innego poety i lewicowego reżysera Piera Paolo Pasoliniego. Nic dziwnego, że Bernardo pierwsze eksperymentalne krótkometrażówki nakręcił już w wieku 15 lat. Jednak to wspomniany Pasolini wprowadził go na dobre do świata kina, zapraszając w charakterze asystenta na plan „Włóczykija" (1961). Przez osiem tygodni przy użyciu prymitywnej aparatury, improwizując i odwołując się do instynktu młodych aktorów niezawodowych — skądinąd autentycznych mieszkańców rzymskich przedmieść — stworzyli dzieło kipiące życiem, gwałtowne i brutalne, wzbudzające zachwyt i protesty. Doświadczenie to miało ogromny wpływ na wczesną twórczość Bertolucciego. W połączeniu z formalnymi eksperymentami wywiedzionymi z francuskiej Nowej Fali i odrzuceniem tradycyjnego kina włoskiego zaowocowało serią awangardowych, zakorzenionych myślowo w marksizmie dzieł: „Kostucha" (1962), „Przed rewolucją" (1965), „Partner" (1968), do tego kilka dokumentów i krótkich metraży.

STRATEGIA PAJĄKA

Głównym punktem odniesienia dla Bertolucciego były w tym okresie radykalne (formalnie i ideowo) filmy Jean-Luc Godarda. Twórca „Do utraty tchu" (1960) atakował burżuazję i drobnomieszczańską estetykę, nawiązywał do kina popularnego, które jednocześnie ideologicznie wywracał na drugą stronę. Po latach Bertolucci przyznał, że w latach 60. chciał przede wszystkim tworzyć niezrozumiałe, trudne i burzycielskie filmy, które z perspektywy lat wydają się być głównie „sztuką dla sztuki". Próbą zerwania z takim kinem są jego dzieła z kolejnej dekady, zachowujące pewną dozę krytyki społecznej, ale formalnie coraz bardziej tradycyjne. Przemiana ta (również ideowa) następowała stopniowo.

Telewizyjna, ale wciąż eksperymentalna, „Strategia pająka" (1970) była przełomem, ale przede wszystkim w kwestii konkretnego tematu. Bertolucci adaptował mało znane opowiadanie Jorge`a Luisa Borgesa o fałszywym bohaterze narodowym, lecz akcję umieścił we Włoszech. To historia syna antyfaszystowskiego partyzanta, który odkrywa szokującą prawdę o ojcu, ale postanawia nie niszczyć mitu męczennika ruchu oporu. „Strategia pająka" pokazuje, również za pomocą technik filmowych zapożyczonych z Nowej Fali, spiralę hipokryzji ówczesnej włoskiej polityki historycznej, rozdrapuje rany, zadaje niewygodne pytania o skalę sprzeciwu wobec faszyzmu oraz poparcie dla polityki Mussoliniego.

Sam temat nie był nowy. Na niwie westernu poruszył go niemal dekadę wcześniej John Ford w swym klasycznym rozrachunku z mitologią kowbojską „Człowiek, który zabił Liberty Valece`a" (1962). Tam jednak mieliśmy do czynienia z bardziej ogólną metaforą kreowania bohaterów przez popkulturę. „Strategia pająka" to już atak czysto polityczny, bezlitosny i wprost wymierzony w mieszczańską debatę publiczną. Bertolucci pytał o antyfaszyzm, ruch oporu, lewicę — tkając pajęczynę dziwnych wizji, które nie mogły prowadzić do jednoznacznych konkluzji.



Wracający z pogrzebu ojca bohater nie był taki sam. Musiał zaakceptować fakty, a jednocześnie ułożyć z nich nowy/stary obraz. Po „Strategii pająka" społeczeństwo włoskie też nie było już takie samo. Furtka do kwestionowania, już w bardziej przyswajalnej formie, została otwarta.

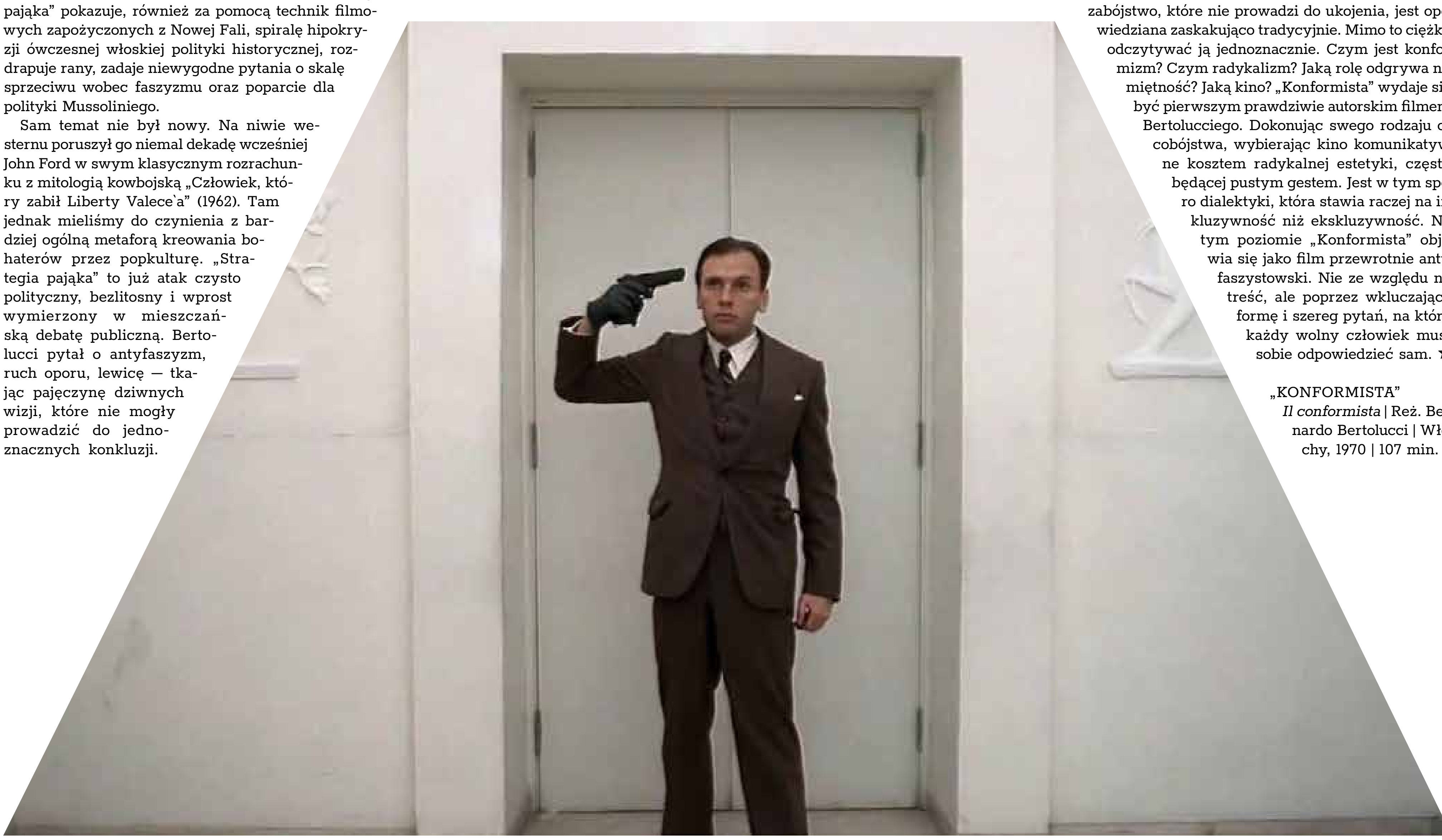
KONFORMISTA

W 1970 roku powstał „Konformista" — pierwszy sukces międzynarodowy Bertolucciego. Ta adaptacja kontrowersyjnej i popularnej powieści Alberto Moravii to zarazem pierwszy „nie-nowofalowy" film włoskiego reżysera. Literacki pierwowzór powstał w 1951 roku i stanowił mocno psychoanalityczne rozliczenie z postawami wobec reżimu Benito Mussoliniego. Przeniesienie jej w skali 1:1 byłoby oczywiście już samo w sobie mocnym gestem politycznym, zwłaszcza po drażniącej zabliźnione rany „Strategii pająka". Tutaj również relacje z ojcem zostają nałożenie na kwestię akceptacji bądź odrzucenia faszyzmu, traktowanego poniekąd jako perwersja i eksces. Bertolucci idzie jednak dalej. Na fabularny szkielet „Konformisty" Moravii nakłada polemikę z własną awangardowo-nowofalową przeszłością.

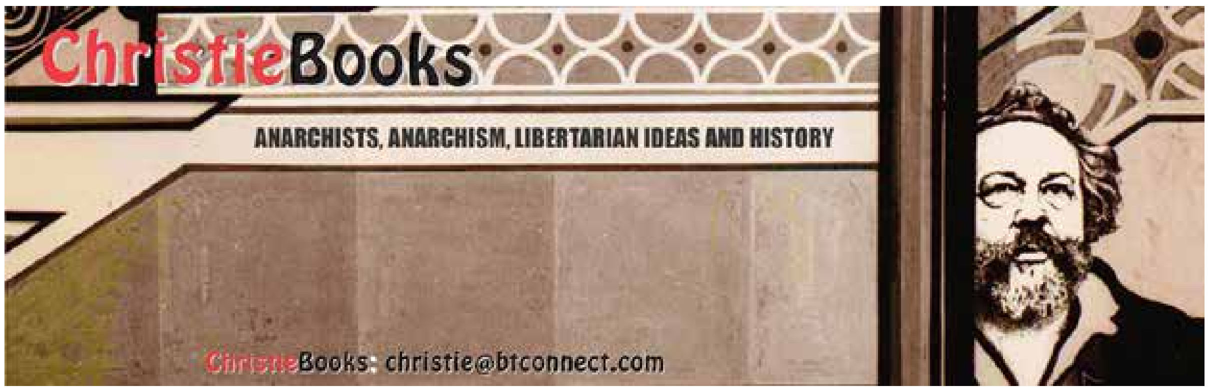
Historia Marcello Clericiego, który wybrał konformizm oraz przystosowanie do faszyzmu (i innych reżimów) jako metodę radzenia sobie z traumami, jest ramą dla rozliczenia z „duchowym ojcem" — Jean-Luc Godardem. Bertolucci dokonuje go na wielu poziomach. Badacze kina odkryli, że numer telefoniczny antyfaszystowskiego profesora, którego nasz bohater ma najpierw infiltrować, a potem wyeliminować, to w istocie prywatny kontakt do Jeana-Luc Godarda. Bohater cytuje też postać z „Żołnierzyka" (1963): „Skończył się czas refleksji, zaczął się czas działania" (skądinąd parafraza słynnej sentencji z „Manifestu komunistycznego"). Z kolei już w pierwszej scenie filmu twarz Clerici`ego odbija się w plakacie filmu „Życie należy do nas" (1936), awangardowej agitce na rzecz „polityki wyciągniętej ręki" Francuskiej Partii Komunistycznej, autorstwa ulubionego reżysera Bertolucciego — Jeana Renoira.

Dodatkowo film zrobiony jest w formie flashbacków, ułożonych niechronologicznie, ale opowiedzianych zaskakująco tradycyjnie. Choć przy „Konformiście" Bertolucci pracował z tym samym operatorem (Vittorio Storaro, mistrzem światła i malarskich nawiązań), co przy „Strategii pająka", nie mamy tutaj wrażenia, że obcujemy z dziwaczną wizją rodem ze snu. Tym razem głównym środkiem wyrazu jest montaż wewnątrzkadrowy. Sama historia relacji profesora Quadriciego i Clariciego, fascynacja połączona z odrzuceniem, polemika przeniknięta podziwem, wreszcie zabójstwo, które nie prowadzi do ukojenia, jest opowiedziana zaskakująco tradycyjnie. Mimo to ciężko odczytywać ją jednoznacznie. Czym jest konformizm? Czym radykalizm? Jaką rolę odgrywa namiętność? Jaką kino? „Konformista" wydaje się być pierwszym prawdziwie autorskim filmem Bertolucciego. Dokonując swego rodzaju ojcobójstwa, wybierając kino komunikatywne kosztem radykalnej estetyki, często będącej pustym gestem. Jest w tym sporo dialektyki, która stawia raczej na inkluzywność niż ekskluzywność. Na tym poziomie „Konformista" objawia się jako film przewrotnie antyfaszystowski. Nie ze względu na treść, ale poprzez wkluczającą formę i szereg pytań, na które każdy wolny człowiek musi sobie odpowiedzieć sam. ★

„KONFORMISTA"
Il conformista | Reż. Bernardo Bertolucci | Włochy, 1970 | 107 min. |



Stuart Christie: anarchistyczne archiwa filmowe



Katalogowanie i archiwizowanie różnych nośników idei to ważna aktywność ruchu anarchistycznego. Poza bogatymi zbiorami tekstów ulotnych, pism i książek, a także plakatów czy wlepek, od kilku lat powstają inicjatywy zogniskowane wokół filmu. Tym razem przyglądamy się Anarchist Film Archive — szkockiego anarchisty i publicysty, Stuarta Christie — które jest częścią platformy christiebooks.co.uk.

Krzysztof Kołacki

ŻYWOT ANARCHISTY

Życiorys Stuarta Christie mógłby stać się podstawą filmu, serialu, a także monografii. To żywa legenda anarchizmu. Urodził się w 10 lipca 1946 r. Jak twierdzi, ideami wolnościowymi zainfekowała go... babcia (napisał nawet książkę *Moja Babcia zrobiła ze mnie anarchistę*). Z ruchem anarchistycznym związał się już na początku lat 60., wspierając anarchistów walczących z reżimem Franco. Działał wtedy w Federacji Anarchistycznej Glasgow oraz Kampanii Na Rzecz Rozbrojenia Atomowego (CND). W 1964 r. wyjechał do Hiszpanii, gdzie oskarżono go o przygotowanie zamachu na generała. Za posiadanie materiałów wybuchowych groziła mu kara śmierci, ostatecznie jednak skazano go na 30 lat więzienia. W więzieniu nawiązał kontakt z hiszpańskimi anarchistami.

Ten polityczny proces był bardzo głośny. W obronie Christiego listy pisali m.in. lewicowi intelektualiści (Bertrand Russel, Jean Paul Sartre). W wyniku nacisków deportowano go do Wielkiej Brytanii w 1967 r. Tu Christie od razu rzucił się w wir działania: współtworzył Anarchistyczny Czarny Krzyż i gazetę „Czarna Flaga".

Represje jednak nie ustawały. W 1972 r. został oskarżony o członkostwo w zbrojnej grupie Angry Brigade, jednak ostatecznie nigdy mu niczego nie udowodniono. Na jego stronie znajdziecie sporo materiałów o tej i innych bojowych formacjach anarchistycznych.

WYDAWNICTWO I ARCHIWA

W Wielkiej Brytanii Christie założył wydawnictwo Cienfuegos Press, zalążek Christiebooks — przyszłej inicjatywy księgarsko-archiwistycznej. Pisał też do pism lewicowych i komunistycznych. Najciekawsze są jednak monografie jego autorstwa, zwłaszcza *My, Anarchiści! Studia z dziejów Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej (F.A.I.) [1927—1937]*, wydanej w 2000 r.

Od 2008 r. Stuart Christie kataloguje i udostępnia online filmy robione przez anarchistów, jak również ich dotyczące. Anarchistyczne Archiwum Filmowe to rzecz wyjątkowa i bezprecedensowa. Zgromadzono tu ogromną liczbę dokumentów, reportaży i filmów fabularnych prezentowanych w oryginalnych wersjach językowych. Dzięki darmowym i dostępnym wtyczkom do przeglądarek filmy można zapisać na dysku i dopasować do nich już opracowane napisy (lub przygotować swoje). Są skatalogowane alfabetycznie, można też skorzystać z wyszukiwarki. To prawdziwa kopalnia wiedzy o filmowej aktywności anarchistów. Znajdziemy to pozycje z początku XX w., klasykę z lat 60. i 70., jak i nowe realizacje. Chyba każdy znajdzie tu coś dla siebie, a co najważniejsze — jest to zaproszenie do głębszej podróży i dzielenia się swoimi własnymi zbiorami oraz działami.

Poza bogatą wideoteką serwis oferuje pokaźną bazę klasycznych tekstów anarchistycznych, najczęściej w języku angielskim, oraz część księgarską, będącą dopełnieniem oferty. Każdy, kto choć trochę umie lub uczy się języka angielskiego, będzie tu z pewnością często zaglądał. ★

christiebooks.co.uk/anarchist-film-archive

Herstory zapomnianych kobiet

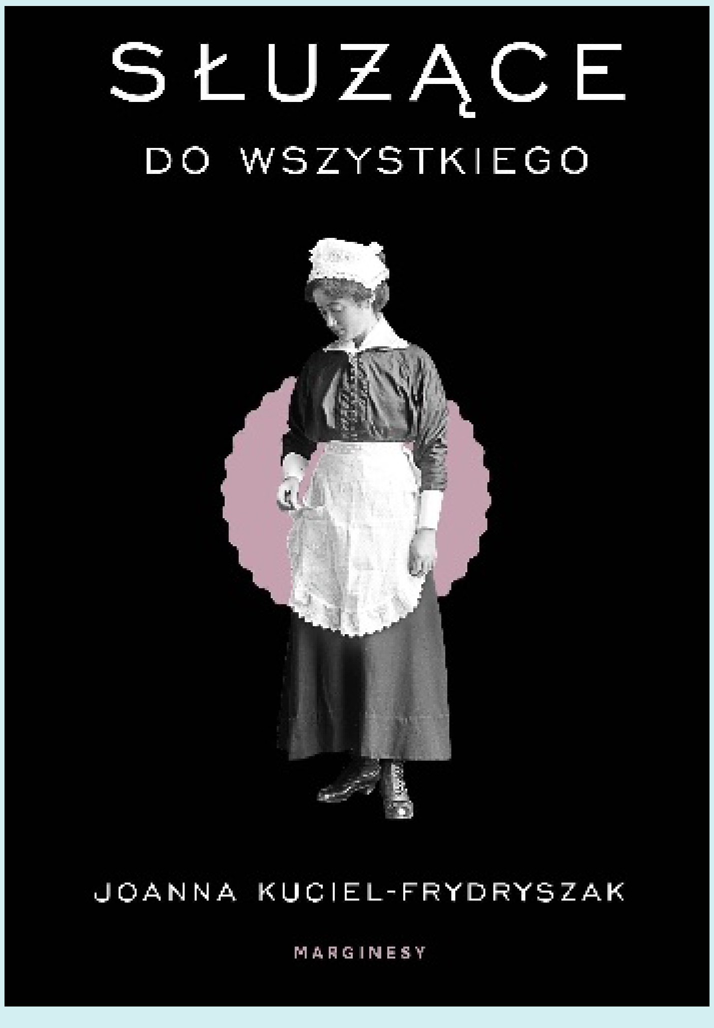
Łukasz Weber

Pierwszą proponowaną pozycją jest książka Joanny Kuciel-Frydryszak pt. *Służące od wszystkiego.* Już na pierwszej stronie autorka dedykuje swoją pracę „pamięci zapomnianych kobiet". Kuciel-Frydryszak zamyka swoją opowieść na terenie Polski i w ramach czasowych obejmujących okres od początku XX w. do pierwszych lat po zakończeniu II wojny światowej. Zajmuje się specyficzną kategorią służących „do wszystkiego", czyli tej najliczniejszej grupy kobiet, które — w odróżnieniu od wyspecjalizowanej służby zatrudnionej w domach bogatej arystokracji rodowej czy finansowej (lokajów, kucharek, sprzątaczek itp.) — pracowały w wielu domach nawet średnio zamożnych mieszczan, czasem wręcz lepiej sytuowanych robotników, a swoją pracą musiały zapewnić dobre funkcjonowanie całego gospodarstwa domowego. Obszerna monografia przeplatana jest autentycznymi fragmentami z poradników dla służących. Poznajemy świat, który dla wielu mieszkanek wsi był swoistym sposobem jeśli nie na awans społeczny, to przynajmniej na wyrwanie się od ciężkiej pracy na wsi związanej z pełną zależnością od rodziny lub sposobem na zdobycie pierwszej własnej pracy i pieniędzy. Jednak życie na służbie to ciężki kawałek chleba; już samo znalezienie się w mieście to odkrywanie nowego, niebezpiecznego i nieznanego świata. A trzeba jeszcze znaleźć pracę i spełnić oczekiwania chlebodawców. Czytając tę książkę, zaczynamy rozumieć, czym są zachowane do dziś w niektórych kamienicach osobne drewniane schody (właśnie dla służby), sutereny czy dziwny układ małych pokoi gdzieś na poddaszu — to właśnie architektoniczne pozostałości czasów, gdy miało się służbę. Poznajemy też historię całkowitej zależności od „jaśniepaństwa", ograniczenia czasu wolnego lub jego całkowitego niemal braku, kilku godzin snu, spania i życia w kuchni na kilku metrach kwadratowych, bo osobny pokój, nawet ciemnica, to rzadki luksus służących. Jest też mroczniejsza strona tych wspomnień, o paniczach czy jaśniepanach przekradających się do pokojów lub kuchni, w których śpią służące. Mamienie obietnicami ślubu lub zwykłe zastraszanie, gwałty, niechciane ciąże, niechciane dzieci, zwolnienia z pracy wiązały się z utratą dachu nad głową i wylądowaniem na bruku — powtarzający się schemat. A z drugiej strony lęki, którymi żyli jaśniepaństwo, dotyczące służących, które kradną, nieumiejętnie obsługują kuchnie gazowe (co czasem doprowadzało do tragedii), a może naiwnie lub z premedytacją wpuszczą do domu złodziei czy morderców... i ten największy strach — służące-morderczynie.

Nastawienie do służby zmienia się z czasem, również w związku z ich walką o poprawę bytu (w tym uznanie prawa do odpoczynku) czy też wieloma apelami tzw. postępowców. Jednak nawet w środowiskach postępowych dostrzega się dystans w podejściu do służby, klasową barierę tak trudną do przełamania. Zapewne wiąże się to też z postępowaniem samych służących, tak bardzo przywiązanych, oddanych i zaangażowanych w życie swoich pracodawców. Nie każdy dostrzega, że ma to związek z niemal całkowitym brakiem własnego życia prywatnego.

To oddanie służących ulega weryfikacji w trudnych czasach okupacji. Znajdujemy opowieści o heroicznej pomocy, serdeczności i ratowaniu życia często dawnych chlebodawców o żydowskim pochodzeniu. Biorąc pod uwagę antysemityzm, jaki szerzy się w Polsce, także w środowisku służących (ogłoszenia zawierające adnotację o chęci pracy jedynie w katolickim domu), wspomniana pomoc zasługuje na wyjątkowe uznanie.

Powojenne lata wieszczą kres „służących do wszystkiego", nadchodzi nowy ustrój, a ci, którzy w tym ustroju mogą pozwolić sobie na zatrudnianie pomocy domowej, stanowią nieliczną grupę. Jest to jednak właśnie forma zatrudnienia, umowy na określoną pracę i na określonych warunkach, zdecydowanie oddalająca się od poznanej wcześniej rzeczywistości służących. Świat służby od wszystkiego odchodzi. Odchodzą ostatnie kobiety pamiętające swoją ówczesną służbę z jej cieniami i blaskami, rzadko spisują wspomnienia i rzadko wspominają. Dzięki autorce książki udało się zebrać w całość ślady po tamtym życiu zapomnianych dziś kobiet. ★



Szukalski – „nawrócony” nacjonalista neopoganin?

Pod koniec 2018 roku platforma streamingowa Netflix zaprezentowała film dokumentalny pt. „Walka: Życie i zaginiona twórczość Stanisława Szukalskiego”. Film opowiada o polskim rzeźbiarzu, mieszkającym przez większość życia w USA. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że ta produkcja odkrywa nieznane oblicze idola neopogańskiego odłamu skrajnej prawicy.

Kapitan Flint



Stanisław „Stach z Warty” Szukalski (1893—1987) był cudownym dzieckiem. Wystarczy wspomnieć, że w wieku 15 lat dostał się na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, z której odszedł po niecałych czterech latach. W czasie dwudziestolecia międzywojennego szamotał się między Polską a Stanami Zjednoczonymi. Wróżono mu wielką karierę na Starym i Nowym Kontynencie — pisano nawet, że jest Michałem Aniołem XX wieku! — ale jego indywidualizm i narcyzm (rezygnował z wielu wystaw, a raz zrzucił ze schodów krytyka sztuki) przysporzyły mu wielu problemów.

Jednak prawdziwe kłopoty wynikały z jego filozofii, która wiązała się z jego sztuką. Był neopoganinem i zagorzałym antykatolikiem. W swoich rzeźbach i rysunkach (a nawet dramatach) nawiązywał do historii Słowian, choć traktował ją lekką ręką, gdyż liczyło się dla niego to, co ta sztuka przyniesie, a nie to, czy oddaje ona jakąś prawdę. W latach 1929—1936 przewodził grupie artystycznej Szczep Rogate Serce, wydającej pismo „Krak”, w którym znajdowały się m.in. antysemickie teksty i rysunki. Optował za tym, aby na katolickich budynkach przyklejać Toporła, symbol stworzony właśnie przez niego, składający się z obosiecznego toporu i głowy ptaka. Symbol ten, wraz z różnymi jego wariacjami, był wykorzystywany przez antysemitów w czasie II wojny światowej, a dziś korzystają z niego m.in. członkowie neopogańskiego nacjonalistycznego stowarzyszenia Niklot, odwołującego się również do Zadrugi Jana Stachniuka.

Podczas wojny większość dzieł Szukalskiego uległa zniszczeniu, a on, wraz z żoną, wrócił do Stanów i pozostał tam aż do śmierci w artystycznym zapomnieniu. I tu prawdopodobnie zaczyna się wątek, o którym polscy nacjo-poganie woleliby milczeć...

Z filmu „Walka” dowiadujemy się, iż Szukalski był na stare lata wrogiem religii (na jednym z nagrań mówi: „Tylko niewierzący są prawdziwymi Polakami i patriotami”). Okazało się również, że nigdy nie wspominał amerykańskim przyjaciołom o swoim antysemityzmie (stworzył tam nawet rzeźbę upamiętniającą cierpienie Żydów), piśmie „Krak” i przesłaniu, jakie płynęło z jego dzieł (np. pomnik Mussoliniego salutującego „po rzymsku”). Przyjaciele, wśród których jest m.in. ojciec Leonarda DiCaprio (notabene producenta filmu!), byli wręcz zażenowani informacjami, które dotarły do nich podczas kręcenia dokumentu.

Jednak Szukalski mówił przyjaciołom wiele (realizator testamentu wspomina o 200 godzinach nagrań) o swojej rodzinie, przyjaźniach, młodości, życiu, sztuce oraz o zermatyzmie, czyli wymyślonej przez niego nauce, w której udowadniał, że wszyscy ludzie pochodzą z Wysp Wielkanocnych... Wynikało z niej internacjonalistyczne przesłanie, a sam „Stach z Warty” jako niemal stulatek stwierdził, że z granic powinno się zrezygnować. Może więc nacjonalista neopoganin, jakim był Stanisław Szukalski, „nawrócił się”? Jeśli tak, to jest jeszcze nadzieja... ;) ★

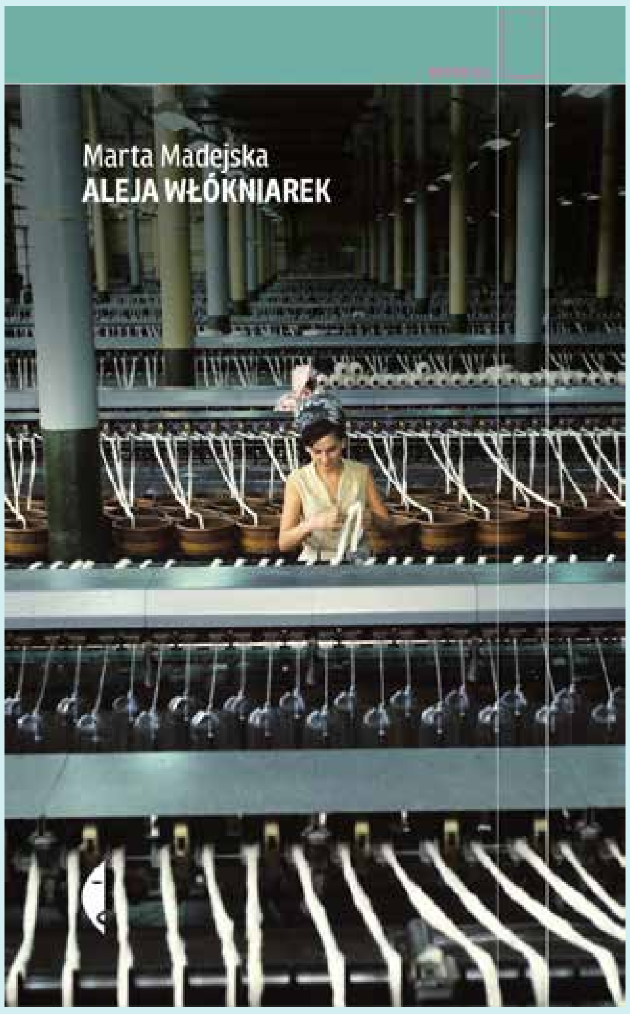
Kolejna książka prowadzi nas Aleją Włókniarzy w Łodzi, aby pokazać nam prawdę o tym, dlaczego owa aleja nie odnosi się do kobiet-włókniarek. Marta Madejska i jej *Aleja Włókniarek* to doprawdy mocny i wciągający reportaż ze świata łódzkich fabryk i świata łódzkich kobiet. To często odległe historie, bo cofamy się do początków łódzkiego przemysłu lekkiego, początków kapitalizmu, obrazów rodem z *Ziemi obiecanej* (przywoływanej zresztą zarówno w swej formie książkowej, jak i filmowej adaptacji). Ponownie uświadamiamy sobie, jak wyrwanie się do pracy w mieście było często jedynym ratunkiem dla kobiet mieszkających na wsi, która nie zapewniała pracy lub zapewniała w niewystarczającej ilości (nie wystarczało na wykarmianie córek).

Praca przy krosnach nie należy jednak do łatwych i lekkich, o czym nietrudno zapomnieć. Hałas czy unoszący się pył z tkanin, do tego tempo pracy, bo obowiązuje akord, praca w systemie zmianowym, ciągłe podkręcanie tempa. W fabryce zatrudnienie znajdują już bardzo młode dziewczęta czy w zasadzie dziewczynki — przymyka się oko na ich młody wiek, fałszuje metryki, bo siła robocza jest potrzebna. Niestety, mimo że to kobiety podtrzymują włókniarski przemysł, ich los leży w rękach mężczyzn, czasem aż zbyt dosłownie. Seksualne wykorzystywanie przez majstrów, kierowanie do gorszej pracy w przypadku odmowy lub wręcz wyrzucanie z pracy — tak mężczyźni wykorzystują swoją władzę.

Z drugiej strony łódzka rzeczywistość w pewien sposób wymusza podział obowiązków domowych. Przekonanie, że kobieta po powrocie z pracy zajmie się pracą w domu nie ma racji bytu przy systemie zmianowym i wysiłku, jaki pochłania praca zarobkowa. Mężowie muszą umieć prać, gotować czy zajmować się dziećmi, gdy tak jak żony pracują w jednej fabryce i często widują się z nimi tylko na chwilę między swoimi zmianami.

Oczywiste jest, że trudne warunki pracy i życia muszą budzić bunt i te bunty włókniarek również opisane są w książce. Łódzka tradycja strajków, dziś tak zapomniana, przez wiele lat musiała budzić i budziła uznanie. Nikt nie mógł odmówić kobietom z jednej strony rozwagi, z drugiej determinacji. Kiedy włókniarki protestowały, był to najlepszy znak, że naprawdę musi się już dziać źle. Przenosząc nas w tej historii coraz bliżej współczesności, autorka pokazuje, że nawet w tym nominalnie „robotniczym” czy „socjalistycznym” nowym ustroju kobiety nadal były gdzieś z boku i nawet jeśli dawne włókniarki robiły kariery, to były to wyjątki, a nie reguła.

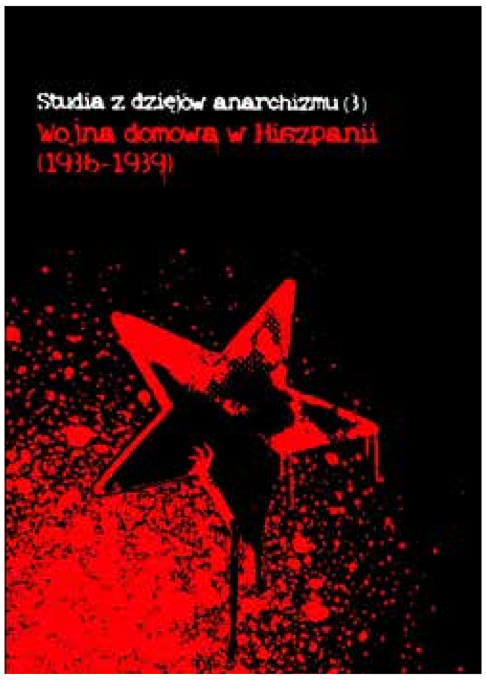
Przemysł lekki stał się całkowicie uzależniony od eksportu do ZSRR i zupełnie nieprzygotowany na zmiany związane z jego upadkiem czy działaniami globalizującego się kapitalizmu. Kobiety ponownie zostały zapomniane oraz pozostawione same sobie, gdy protestowały i strajkowały, podczas gdy zamykano kolejne łódzkie fabryki. Niedostrzegalna była także ich walka o przetrwanie w nowych warunkach. Chałupnicza praca dla pierwszych polskich „Januszy biznesu”, którzy zapłacą za pracę albo i nie, dadzą zlecenie albo znajdą kogoś tańszego do roboty. Pracując na tych samych maszynach, wykupionych za bezcen przez szemranych prywatnych biznesmenów, z trudem próbują wiązać koniec z końcem. Jak znamienne jest, że w tej nowej Polsce dodatek za szkodliwe warunki pracy odbiera rząd pierwszej kobiety-premier Hanny Suchockiej. Dziś po tamtym świecie ciężko pracujących kobiet pozostały jedynie wspomnienia i czasem odkrywane dokumenty w pustych fabrycznych pomieszczeniach. ★



NAUKOWO O ANARCHIZMIE

Naukowe opracowania poświęcone dziejom anarchizmu to wciąż rzadkość na rodzimym rynku książki. Sytuację ratują tłumaczenia zagranicznych autorów oraz kolejne prace zbiorowe, np. wydawane od 2011 roku w ramach cyklu „Studia z dziejów anarchizmu”. Trzeci tom serii, który właśnie się ukazał, nosi tytuł Wojna domowa w Hiszpanii (1936—1939).

Krzysztof Wasilewski



Najnowsza pozycja to pokłosie konferencji (zorganizowanej w Instytucie Historii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Szczecińskiego w czerwcu 2016 r.) w 80. rocznicę wybuchu wojny domowej w Hiszpanii. Jak pisze we wstępie redaktor tomu, Radosław Skrycki, „ponieważ ruch anarchistyczny w tym kraju był wyjątkowo silny i odegrał istotną rolę nie tylko w kształtowaniu stosunków społecznych na Półwyspie Iberyjskim, ale i poza jego granicami, wydawało się, że będzie to dobra okazja, by ponownie pochylić się nad historią anarchizmu”. I rzeczywiście. Okrągła rocznica wybuchu wojny domowej w Hiszpanii stała się pretekstem nie tylko do przybliżenia dziejów udziału anarchistów w tym konflikcie, ale także do zastanowienia się nad współczesną kondycją ruchu nad Wisłą.

Na omawianą książkę składa się 20 referatów podzielonych na trzy działy. Pierwszy z nich — *Wojna domowa w Hiszpanii (1936—1939)* — zawiera 10 tekstów podejmujących tytułowy temat z różnych perspektyw badawczych. Warto podkreślić, że dział rozpoczyna się niepublikowanym dotąd esejem Eliezera Hirszauge z 1936 roku, w którym ten polski anarchista na gorąco analizuje sytuację w Hiszpanii. Na szczególną uwagę zasługują również tekst Radosława Skryckiego, pt. Hiszpańscy anarchiści w oczach (nie tylko) polskich komunistów oraz referat Césara Navarro przybliżający kwestię pamięci wojny domowej i jej roli we współczesnym hiszpańskim społeczeństwie. Drugi dział — liczący siedem tekstów — został poświęcony ogólnej historii anarchizmu. Znajdziemy tu zatem m.in. artykuł Katarzyny Dudy, w którym badaczka przybliża recepcję myśli Piotra Kropotkina w polskiej prasie w latach 1880—1918. Z kolei Aleksander Łaniewski analizuje stosunki anarchistów i socjalistów podczas rewolucji 1905 roku w guberni grodzieńskiej. Dwa ostatnie teksty w tym dziale traktują o współczesnym anarchizmie — Paweł Malendowicz porównuje nacjonalizm i anarchizm, zaś Grzegorz Piotrowski zastanawia się czy polski anarchizm jest lewicowy. Ostatni dział to „Varia”, czyli zbiór trzech różnorodnych tekstów, spośród których wyróżnia się studium Wojciecha Goslara poświęcony polskim badaniom nad anarchizmem. Tekst liczy aż 87 stron i już sam ten fakt wskazuje, jak wyczerpująco i dokładnie przybliża dotychczasowy dorobek w tej materii. Ze smutkiem więc trzeba przyjąć słowa autora, gdy pisze: „Żałować można, że wciąż, wobec ogromu tematów związanych z dziejami ruchu i myśli anarchistycznej w Polsce, zainteresowanie środowisk naukowych jest dalece niewystarczające”. Zarazem jednak Goslar podkreśla rosnące zainteresowanie anarchizmem wśród polskich badaczy.

Omawiana książka to zbiór niezwykle ciekawych tekstów, które zainteresują wszystkich chcących poznać dzieje i współczesność anarchizmu. Na uwagę zasługuje fakt, że tom został przygotowany i wydany nie przez uczelnię lub instytucję naukową, lecz przez Stowarzyszenie Historyczno-Kulturalne „Terra Incognita” w Chojnie, zajmujące się przede wszystkim popularyzowaniem historii regionalnej. Każdy, kto choć raz próbował wydać książkę, zdaje sobie bowiem sprawę, ile wymaga to wysiłku, energii i samozaparcia. Tym bardziej warto docenić trud autorów i redaktorów, życząc sobie kolejnych, równie ciekawych publikacji w serii „Studia z dziejów anarchizmu”. ★

W książce Joanny Ostrowskiej *Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w czasie II wojny światowej* docieramy do czasów największej brutalności i największej próby człowieczeństwa. Jednak, jak już na wstępie zauważa autorka, „Historia seksualnych pracownic przymusowych w okresie wojny nigdy nie będzie klasyczną narracją. Prawdopodobnie nigdy nie stanie się też częścią polskiej pamięci zbiorowej. Jest już za późno. Mikrobiografie bohaterek tej książki pozostaną niedokończone. Rzadko zdarza się, żeby któraś z ofiar pozostawiła świadectwo, nikt też nie zadbał o to, aby zaświadczyły o swojej przeszłości. Powojenne milczenie o ich cierpieniu było najprawdopodobniej najsurowszą karą. Ich cierpienie pozostało niewypowiedziane”. Osobiście przekonałem się, jak wiele jest w tych słowach prawdy. Mój dziadek i babcia (od strony matki) byli w trakcie wojny na robotach przymusowych w III Rzeszy — taka przez lata była oficjalna historia. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że dziadek był przez jakiś okres więźniem w obozie Dachau, a później Mauthausen. To zasiało wątpliwości również o wojenne losy babci, bo przecież oficjalnie poznali się „na robotach”. A może jednak w obozie? Dziś nie mam już okazji ich o to zapytać.

Czas wojny, tak ekstremalnej, musi rodzić traumę i zniechęcać do wspomnień. Tym bardziej, że dotyczy to sfery tabu związanej z seksem. Autorka omawia zarówno przypadki zakazanego pożycia obywateli rzeszy z Polkami (służącymi czy wręcz konkubinami — nie zawsze łatwo określić czy w takiej sytuacji dochodziło do przymusu, czy faktycznego uczucia, a może chęci przetrwania trudnego okresu pod ochroną okupanta. Nic nie jest tu proste i łatwe do ocenienia. Pojawia się jednak również system oficjalnych domów publicznych, bo okupant chce mieć tę sferę pod kontrolą. Ideologia zakazująca kontaktów i „mieszania krwi” to jedno, strach przed niekontrolowanym rozprzestrzenieniem się chorób wenerycznych to drugie, bardziej praktyczne podejście. Prostytucja na poły legalna, pod kontrolą, najczęściej przy pomocy burdelmamy, która podpisała volkslistę. Częściowo te półoficjalne, półlegalne burdele są zapełniane „rejestrowanymi prostytutkami”, ale mogą tam też trafić kobiety „podejrzane o trudnienie się nierządem”, tzw. „z łapanki”. Organizowano również wywózki kobiet do burdeli tworzonych dla żołnierzy przy poligonach, terenach przyfrontowych, a później do burdeli dla strażników i robotników przymusowych powstających przy obozach. Wiadomo, że istniały przyobozowe burdele dla więźniów-robotników m.in. w obozach w Mauthausen, Buchenwald czy KL Auschwitz I i KL Auschwitz III. Praktyka kierowania do takich przybytków „oficjalnych prostytutek” to tylko pewien element historii, bo wiele wskazuje, że było to nieosiągalne w warunkach wojennych i o znalezieniu się na liście do wywózki decydował przymus, przypadek, podstęp. Osobną kwestią pozostaje sama ocena prostytucji i całej sfery seksualności w warunkach wojennego terroru. Postrzeganie pracownic seksualnych i płatnego seksu miało niebagatelny wpływ na późniejsze powojenne próby zbadania samego zjawiska seksualnego wykorzystywania kobiet.

Same wspomnienia i opisy miejsc — czy to obozowych tzw. Puffów, czy funkcjonujących najdłużej w takich miastach jak Warszawa i Poznań burdeli — pozostają dość szczątkowe. Autorce udało się jednak dotrzeć do nielicznych powojennych zeznań i wspomnień. W zeznaniach najczęściej miejsce i praca w nim są jedynie zaznaczane, stanowią poboczny wątek zeznań. Wiąże się to z coraz mocniej nasilającym się po wojnie tabu oddziałującym na seksualną pracę przymusową i swoistą stygmatyzację dotykającą doświadczone tą pracą kobiety. Jak zauważa autorka, okres tuż po zakończeniu wojny najbardziej sprzyjał zbieraniu wszelkich informacji i wspomnień; na zasadzie chęci wykrzyczenia swojego doświadczenia dzielono się najbardziej traumatycznymi wspomnieniami. Upływ czasu sprzyjał jednak budowaniu podziałów wśród tych, którzy przeżyli, ferowaniu ocen wobec postaw na to, jak przeżyło się wojnę, jak przeżyło się piekło obozu. Kobiety zamykały się ze swoimi wspomnieniami, ich los został skazany na odtrącenie, wymazanie z podręczników historii. Potrzeba było ponad siedemdziesięciu trzech lat, by ich głos ponownie mógł być usłyszany.

Wspomniane książki spełniają naprawdę niebagatelną rolę w przywracaniu i unaocznianiu kobiecej historii. Pokazują, jak często jest odrzucana i pomijana. Dla wszystkich, którym bliskie są idee wolnościowe, zaznajamianie się z tymi historiami to doprawdy ważny krok w stronę uzyskania pełniejszego obrazu zarówno przeszłości, jak i teraźniejszości. ★



Spełniające się marzenie

W tym roku, nakładem Oficyny Trojka, ukaże się książka Elizera Hirszauge *Wspomnienia o ruchu anarchistycznym w Polsce (1928–1946)*. Mamy nadzieję, iż pozwoli ona poznać i zabarwi mało znane białe plamy z historii anarchizmu polskiego. Nie jest ona jednak klasycznym opracowaniem naukowym dziejów — to żywe subiektywne wspomnienia bezpośredniego uczestnika ruchu w okresie wielkiej próby, wojny i zagłady. Sądzimy, że to inspirująca lektura, z której wiele możemy wyciągnąć dla współczesności. Prezentujemy wam wstęp do wydania polskiego.

Seksa



Wspomnienia Eliezera Hirszauge, które oddajemy w Państwa ręce, stanowią wyjątkową dokumentację historii ruchu anarchistycznego w Polsce. Jest to zarazem opowieść o idei rodzącej się wśród społeczności żydowskiej w okresie dwudziestolecia międzywojennego oraz działającej wówczas w kraju Anarchistycznej Federacji Polski, w skład której wchodzili zarówno Polacy, jak i Żydzi.

Pamiętniki Eliezera Hirszauge to niezwykle cenne źródło informacji, jeżeli chodzi o badania, odkrywanie tożsamości i historii radykalnej lewicy w okresie międzywojennym. Jest to też historia życia jednostki na tle ciężkich losów osób pozostających na marginesie społeczeństwa przez swoje poglądy i narodowość przed, w trakcie i po II Wojnie Światowej. Choć wspomnienia te zostały spisane ponad 60 lat temu, nadal są niezwykle aktualne, obrazują problemy każdego człowieka, który ma wpływ na formowanie się ruchów społecznych. Są opowieścią o wierności swoim ideom i przekonaniom w czasach pokoju i wojny.

To dla nas zaszczyt, że po kilku latach pracy możemy Państwu przedstawić wspomnienia Eliezera Hirszauge. Wspierającym projekt wydania tej pozycji w języku polskim przyświecała chęć uzupełnienia luki, jaką był praktyczny brak pozycji mówiącej o dziejach ruchu anarchistycznego w Polsce w okresie międzywojennym. Było to zadanie tym trudniejsze, że polska wersja książki napotkała na swojej drodze problemy, które opóźniły jej wydanie. Musieliśmy zmierzyć się ze zmianami w zespole redakcyjnym i problemami finansowymi. Powstanie książki nie byłoby możliwe bez zaangażowania oraz pomocy wielu osób, między innymi ekipy Oficyny Wydawniczej Trojka, którym chcemy serdecznie podziękować. Wszystkich nazwisk nie sposób tutaj wymienić. Jednak tych kilka lat starań o wydanie książki nie poszło na marne i dzięki tak długim pracom nad publikacją jesteśmy pewni, że jest to pozycja starannie przygotowana i dokładnie dopracowana. Mam nadzieję, że spełni wymagania osób, które dopiero zaczynają swoją przygodę z tematem ruchów anarchistycznych oraz specjalistów znających dzieła klasyków tego ruchu.

Książka ta po raz pierwszy została wydana w Izraelu w 1953 roku pod tytułem „Realizacja marzenia. Ruch anarchistyczny Polsce — wspomnienia i komentarze". Jest to zbiór szkiców będących doskonałym, malowniczym opisem dziejów anarchizmu w Polsce przed drugą wojną światową, a także losów społeczeństwa żydowskiego przed i w trakcie wojny. Niezwykłym uzupełnieniem tej pracy są wspomnienia Diny Huzarskiej-Hirszauge, żony Eliezora, dodane w drugim wydaniu, które ukazało się w 1964 roku. Są to wspomnienia pisane z pozycji żony, aktywistki i organizatorki biblioteki anarchistycznej w Tel Awiwie. Jest to dodatkowe urozmaicenie książki, pokazujące historię ruchu anarchistycznego ze strony działaczki, ale też towarzyszki życia aktywnego działacza. Warto też wspomnieć, że w latach 70. były czynione pewne przymiarki do translacji wspomnień Hirszauge na język angielski i wydania ich w Stanach Zjednoczonych. Wszystko to działo się za sprawą amerykańskiego anarchisty Sama Dolgoffa.

Eliezer Hirszauge to postać wyjątkowa dla żydowskiej myśli politycznej, która w Polsce jest niestety niemal zapomniana. Hirszauge był szczególnie ważną postacią dla ruchu anarchistycznego w Warszawie i częściowo Łodzi lat trzydziestych. Jego aktywność była też niesamowicie istotna dla działalności ruchów społecznych na terenie rodzącego się państwa Izrael, dokąd wyemigrował z Polski w 1947 roku. Wystarczy wspomnieć, że był twórcą jedynego na świecie pisma anarchistycznego w całości drukowanego w języku hebrajskim. Zajmował się też wydawaniem broszur na temat założeń anarchizmu (publikował je pod pseudonimami: Luiz Haze i A. Góral) zarówno w Warszawie, jak i później już w Izraelu. Publikował też w zagranicznych pismach anarchistycznych: w nowojorskim „Fraje Arbeter Sztyme" oraz paryskim „Der Frajer Gedank". Jego artykuły zamieszczane były w czasopismach w Niemczech, Anglii, Francji, USA i Japonii.

W tej jedynej monografii, opisującej dzieje ruchu anarchistycznego w międzywojennej Polsce, znajdziemy niezwykle barwne historie pokazujące życie w przedwojennej stolicy. Autor, jako naoczny świadek wydarzeń, przywołuje konkretne postacie, miejsca oraz wydarzenia, które wpłynęły nie tylko na kształtowanie się ruchu anarchistycznego, ale i dużej części radykalnej lewicy tamtych czasów. Jest to historia o tym, jak w przedwojennej Warszawie żywa była dyskusja o filozofii politycznej, jak ścierały się ze sobą ruchy komunistyczne, anarchistyczne, faszystowskie i wiele innych. Jest to zarazem niesamowicie kolorowy obraz społeczności żydowskiej żyjącej w przedwojennej Warszawie.

Wspomnienia Eliezera Hirszauge to jednak nie tylko historia myśli anarchistycznej i anarchosyndykalizmu w przedwojennej Polsce. To też opowiadanie z pierwszej ręki na temat uchodźstwa Żydów do Związku Radzieckiego w latach 1939-1945. Hirszauge i jego żona zostali tam zesłani na roboty przymusowe. Eliezer Hirszauge porównywał ten okres swojego życia do dantejskich „siedmiu kręgów piekła". W tej części książki znajdziemy opowiadania na temat podróży do ZSRR, trudnych warunków pracy oraz tego, jak społeczeństwo żydowskie radziło sobie w tak trudnych warunkach.

Jest to też wspaniała opowieść o tworzącym się ruchu anarchosyndykalistycznym, który rodził się pod koniec XIX wieku, a w początkach XX wieku rozwijał się dzięki wydawanym pismom, broszurom i agitacji wśród ludzi pracy. Łączył on robotników, chłopów, środowiska twórcze i artystów o różnych narodowościach. Jest to historia opowiadająca o próbach zrozumienia i adaptacji tez anarchistycznych na ziemiach polskich. Zadawano sobie wtedy pytania, w jaki sposób realizować swoje ideały w codziennym życiu, w społeczeństwie z wieloletnią tradycją kultu autorytetu. Dlatego też książka ta pokazuje, w jaki sposób poszukiwano najlepszych dróg do szerzenia tych idei na gruncie polskim.

Hirszauge w swoich wspomnieniach odnosi się również do twórczości takich postaci jak Michaił Bakunin, Piotr Kropotkin i Errico Maletesta — postaci kluczowych dla myśli anarchistycznej. Dlatego jest to ciekawa propozycja dla osób chcących sprawdzić, jak w latach trzydziestych przyjmowane oraz interpretowane były dzieła tych myślicieli, a także jaki wpływ miały one na kształtowanie się idei anarchistycznych w okresie międzywojennym.

Do Państwa rąk oddajemy książkę wielopłaszczyznową. Wspomnienia, opisujące życie wyjątkowej jednostki, stawiającej czoła wydarzeniom wojny i emigracji, będące zarazem wartościową pozycją z zakresu idei politycznych, nauk historycznych i społecznych. Mamy nadzieję, że książka zainteresuje specjalistów oraz osoby zajmujące się hobbistycznie ruchami społecznymi, teorią polityki, dziejami przedwojennej różnorodnej etnicznie Warszawy, kształtowania się państwa Izrael i nie tylko. ★

ILUSTRATORZY

BALCEROWICZ.COM

Naszym podstawowym celem jest dostarczanie aktywistom, dziennikarzom i wszystkim zainteresowanym informacji pozwalających na rzetelną i merytoryczną krytykę mechanizmów władzy.





Prezentując wybrane dane, chcemy przekonać do krytyki zarówno hierarchicznego społeczeństwa, jak i systemu kapitalistycznego oraz demokracji w obecnym kształcie. Wiemy, że wszystkie negatywne zjawiska współczesnego świata, m.in. takie jak: wykluczenie i przemoc ekonomiczna, postępująca koncentracja kapitału i brak społecznej kontroli nad nim, a także fasadowa demokracja — nie są przejściowe. Są to stałe, niezmienne mechanizmy w kapitalizmie. Zawsze będzie istniała stale zawężająca się grupa coraz bogatszych i zawsze będzie istniała ogromna, niewidoczna grupa wykluczonych ekonomicznie. Nierówności ekonomicznych nie można zlikwidować ani poprzez kapitalizm wolnorynkowy, ani poprzez kapitalizm „z ludzką twarzą". Jednoczesne utożsamianie demokracji z kapitalizmem powoduje, że stajemy się zakładnikami kapitału, do którego dostęp mają nieliczni.



Jesteśmy głęboko rozczarowani brakiem szerokiej krytyki współczesnych mechanizmów rządzących grupami społecznymi i ekonomią. Jesteśmy świadomi, że dziennikarze uzależnieni od popularności oraz zależni od reklamodawców i wyników finansowych swoich wydawnictw, niechętnie podejmują się krytyki rządzących oraz władzy kapitału. Wiemy też, że rządzący chodząc na pasku „niewidzialnej" ręki rynku, swoimi posunięciami zaspokajają roszczenia osób i instytucji go reprezentujących. Wszystko to utwierdza nas w przekonaniu, że media już dawno przestały być „czwartą władzą", a „nasi reprezentanci" nieustannie realizują interesy kapitału. Nie pozwolimy dłużej tego ukrywać.

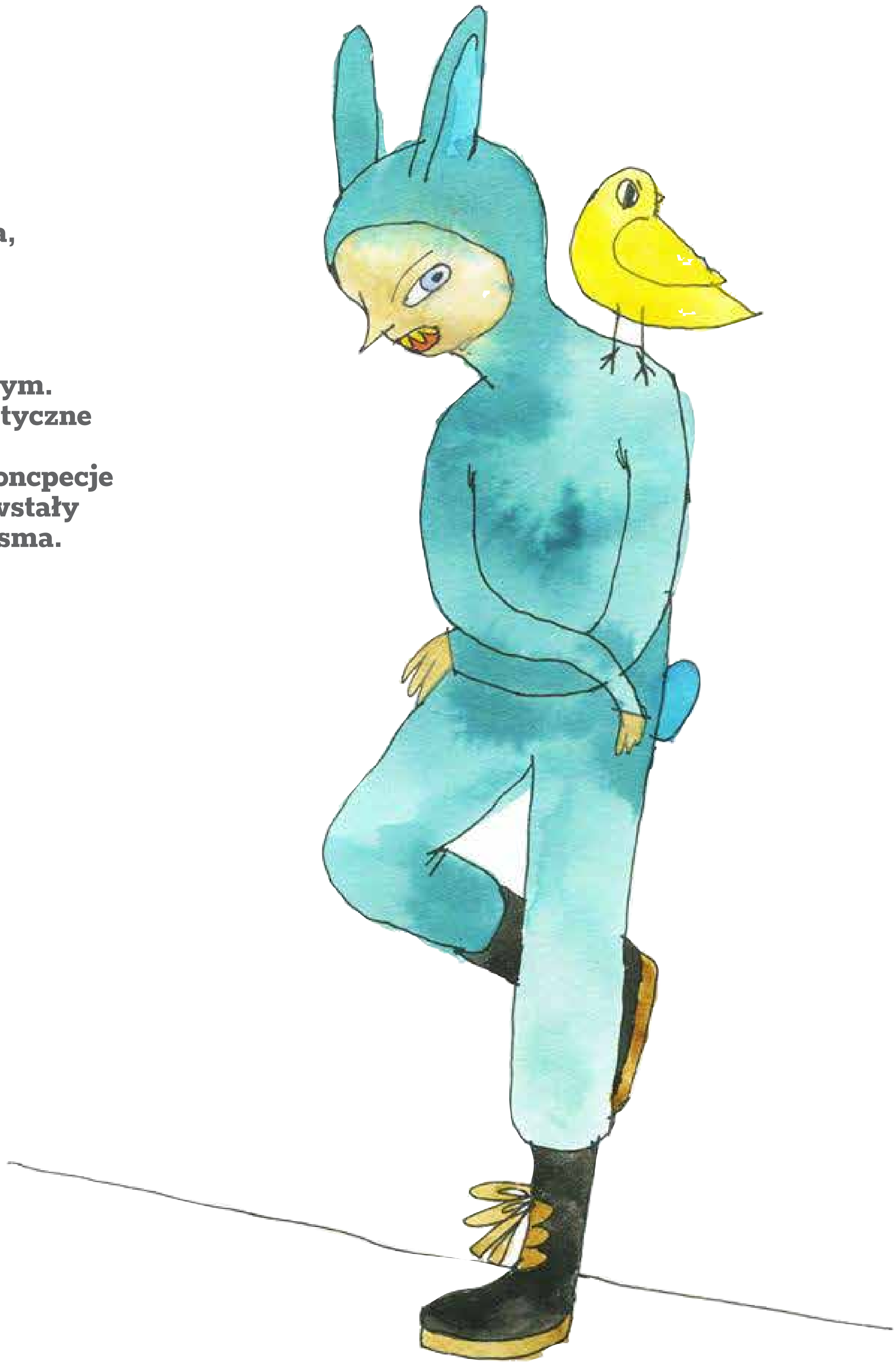


Od 5 lat, co tydzień, w każdy poniedziałek o godz. 8 publikujemy infografiki z informacjami z Polski i ze świata. Obnażamy hipokryzję kapitalistów, prezentujemy fakty i liczby. Wydajemy również plakaty, broszury, ulotki. Po prostu dostarczamy informacji niezbędnych do rzeczowej krytyki kapitalizmu. Prezentujemy punkt widzenia, którego bardzo brakuje. ★

NUMERU

EDYTA Bystroń

Rysowniczka, ilustratorka, twórczyni komiksów. Publikuje w antologiach, zinach, większe projekty wydaje niezależnie dzięki akcjom crowdfoundingowym. Prowadzi warsztaty artystyczne i komiksowe dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Koncepcje ilustracji do „A-taku" powstały wspólnie z redaktorem pisma.



Sieć kontaktów Federacji Anarchistycznej

Wychodząc naprzeciw zauważalnemu rozwojowi zainteresowania ideami i działalnością anarchistyczną w naszym kraju, dynamice i specyfice wielu środowisk oraz aktywnych jednostek wywodzących się z niewielkich ośrodków, które często nie miały tradycji anarchistycznych lub ta tradycja została bezpowrotnie przerwana, chcielibyśmy w ramach FA powołać SIEĆ KONTAKTÓW.

Sieć Kontaktów Federacji Anarchistycznej za zadanie miałaby szersze zrzeszenie anarchistek i anarchistów w ramach FA, a przez to dążenie do tworzenia większej ilości sekcji FA lub włączenia tych jednostek w działania, oraz w prace nad rozwojem i kształtowaniem FA jako anarchistycznej formacji ogólnopolskiej z korzyściami dla całego ruchu anarchistycznego w kraju.

W październiku 2018 r. odbył się Zjazd FA w Łodzi na, którym przyjęto wstępnie możliwość powstania Sieci Kontaktów FA, a po dłuższej dyskusji wyznaczono ogólne ramy i zasady uczestnictwa w ramach FA.

Serdecznie zapraszamy do wspólnego z nami federowania się i walki z państwem, kapitalizmem i władzą, przybierającą tak różne postacie. Dlatego uważamy, że federalizm i zorganizowane działanie jest skuteczniejszą formą walki o wolność i przeciwko władzy, gdzie władza ma za sobą struktury i środki, by tłamsić, kontrolować i ograniczyć każde jednostkowe działanie. Ważna jest też tutaj kwestia skali, gdzie wspólnie możemy więcej, potęgując nasz przekaz oraz gdzie solidarność, wymiana doświadczeń i możliwości w naszych szeregach czyni nas skuteczniejszymi i większymi wrogami władzy niż jednostkowy i pozbawiony wsparcia głos.

Zatem Kontakt jest najmniejszą komórką FA, mogącą składać się nawet z jednej osoby, której blisko jest do aktywności i zgadza się z Płaszczyzną ideową FA oraz Zasadami, którymi kieruje się FA.

Uczestnictwo Kontaktu w FA w danym ośrodku ma na celu zrzeszenie większej ilości jednostek na danym terenie, włączenie się na miarę swoich możliwości w działania FA, kolportaż materiałów anarchistycznych oraz myślą, mową i uczynkiem szerzenie idei anarchistycznych w lokalnej przestrzeni. Od momentu przyjęcia Kontakt FA jest zapisywany na wewnętrzną listę dyskusyjną oraz ma możliwość zamieszczania swoich materiałów na FB i stronie ogólnopolskiej FA w zakładce Sieć Kontaktów FA. Ma prawo składać swoje propozycje, uczestniczyć w dyskusjach i grupach zadaniowych, koordynować wspólne działania oraz ma możliwość uczestnictwa w Zjazdach FA. ★



federacja-anarchistyczna.pl /// facebook.com/FederacjaAnarchistyczna /// e-mail: biurofa@riseup.net

ACK Galicja w Krakowie

Z inicjatywy krakowskiej Federacji Anarchistycznej oraz Warsztatu (niezależnego centrum kulturalno-społecznego) powołano w Krakowie oddział ACK Galicja, czyli grupy dotychczas działającej w Rzeszowie. Od dziś pod tym szyldem będą organizowane benefity i zbiórki na pomoc więźniom politycznym. Nie oznacza to, że wcześniej nie działano w tej sprawie — FA organizowała m.in. spotkania dotyczące represji w ruchu anarchistycznym, zaś w Warsztacie 26 stycznia 2018 r. zorganizowano koncert benefitowy na ACK (zagrali Anarch, Arbeit Kommando, Tofu Riot, The Bastard i Minority); na wielu koncertach pojawia się też distro ACK. Szykujemy kolejne wydarzenia. ★

ackgalicja@riseup.net



Czarna Galicja II

Druga edycja Czarnej Galicji, czyli regionalnego spotkania anarchistycznego, odbyła się 12 stycznia w krakowskim alternatywnym klubie Warsztat.

Nazwa Czarna Galicja nawiązuje do grupy anarchistycznej, która działała w Rzeszowie kilkanaście lat temu. Pierwszy zjazd odnowionej Czarnej Galicji odbył się 4 czerwca 2017 r. w Rzeszowie. Drugi zjazd miał na celu nawiązanie kontaktów z rozproszonymi grupami anarchistycznymi, a także pojedynczymi osobami, oraz omówienie obecnych i przyszłych strategii działania ruchu anarchistycznego. Obecne były osoby z Warsztatu, Federacji Anarchistycznej (sekcja krakowska i rzeszowska), Tarnowa, Bielska-Białej, Nowego i Starego Sącza, a także z Kielc.

Spotkanie rozpoczęło się od wykładu o stanie polskiego ruchu anarchistycznego na przykładzie kolportażu „A-taku", które poprowadził przedstawiciel kolektywu redakcyjnego. Prelekcja była poprzedzona krótką analizą sytuacji w jakiej funkcjonuje pismo (m.in. dominacja — w tym międzynarodowych — korporacji medialnych) w oparciu o teorię „produkcji zgody" (ang. manufacturing consent) Noama Chomsky'ego oraz Edwarda S. Hermana.

W przerwie obiadowej zaserwowano wegański posiłek przygotowany przez FA Kraków, a po nim nastąpiła dyskusja o sposobach działania grup anarchistycznych i o tym, co jeszcze możemy zrobić, by te działania usprawnić. Szczególnie ważna była ta ostatnia część, gdyż uczestnicy mogli wymienić się swoimi doświadczeniami i porównać możliwości działania w dużych i małych miastach, a te — jak wynikało z dyskusji — różnią się w zależności od specyfiki miast oraz wiedzy ich mieszkańców o anarchizmie. Dlatego jednym z postanowień zjazdu jest wzmocnienie współpracy z „A-takiem" m.in. poprzez publikowanie krótkich tekstów i dłuższych raportów z działalności Czarnej Galicji. Chcemy wykorzystać gazetę (w formie papierowej i cyfrowej) jako narzędzie anarchistycznej propagandy (np. przy pierwszym kontakcie z anarchizmem) oraz nacisku na lokalne media, pokazując tym samym, że zauważamy problemy, których oni nie poruszają.

Jeśli chcesz współtworzyć regionalną grupę anarchistyczną Czarna Galicja, pisz pod adres:

czarnagalicja@riseup.net

Wolne, równe, niepodległe

Dora Kłuszyńska, progresywna polityczka ze Śląska, która zaliczyła także swój gnieźnieński epizod, miała powiedzieć: „Zmiana zaczyna się od tego, że mężczyzna powinien najpierw uznać w domu kobietę za równego i wolnego człowieka". Ale to tylko połowa prawdy, bo podobnie kobiety powinna uznać także lokalna społeczność pisząca swe dzieje.



Autorzy wystawy: Kamila Kasprzak-Bartkowiak i Paweł Bartkowiak
Fot. Anna Farman

Wystawa pt. „Społeczna historia Gniezna — kobiety", którą przez trzy tygodnie września 2018 r. można było oglądać na wielkoformatowych banerach na skwerze przy ul. Chrobrego, a następnie w murach gnieźnieńskiego Instytutu Kultury Europejskiej UAM, powstała nie tylko z inspiracji 100-leciem uzyskania przez Polki praw wyborczych, lecz jednocześnie z potrzeby przybliżenia wartych uwagi gnieźnianek. Ponieważ aktywne i wyróżniające się kobiety były i są zawsze, w tym także w naszym mieście — niezależnie od czasów, mód czy epok. Jedynie ciągle wszechobecny patriarchat nam je przesłania. Bo jakże inaczej wytłumaczyć fakt, że o historii Gniezna sprzed wieku nadal mówi się głównie przez pryzmat mężczyzn? Np. producenta wódek i likierów Bolesława Kasprowicza, drukarza Jana Bernarda Langego czy założyciela cukrowni Leona Grabskiego. Pomija się weterankę fotografii Pelagię Eitner-Gdeczyk, poetkę Marię Springer bądź lekarkę pediatrę Stanisławę Sławską-Taczakową. Albo jak wyjaśnić to, że obecne władze Pierwszej Stolicy z chęcią wydały dziesiątki tysięcy złotych na obchody stulecia niepodległości Polski czy tak hołubionego w naszym regionie Powstania Wielkopolskiego, a na upamiętnienie dziejów połowy społeczeństwa już niekoniecznie?

Nie oglądając się jednak na główną narrację i nie tylko materialne trudności, zaczęliśmy budować własną opowieść. Rzecz o wybitnych gnieźniankach kiedyś i dziś, bo na wystawie znalazły się zarówno bohaterki, których już nie ma wśród nas (8 kobiet), jak i te żyjące (7 kobiet), dobierane według klucza profesji i aktywnych działań. Ostatecznie z tego wszystkiego wyłoniło się piętnaście sylwetek uwiecznionych na czterech wielkoformatowych banerach.

Całość, zgodnie z porządkiem chronologicznym, otwiera więc żyjąca jeszcze w XIX wieku Maria Springer — religijna poetka, która w przestrzeni publicznej mogła zaistnieć w dużej mierze dzięki swojej pozycji klasowej oraz samokształceniu. Dalej mamy Pelagię Eitner-Gdeczyk, która żyła już na przełomie dwóch wieków i przez ponad czterdzieści lat prowadziła swój zakład fotograficzny przy dzisiejszej ul. Mieszka I i ul. Mickiewicza w Gnieźnie, a do tego pomagała ubogim. Kolejna bohaterka ekspozycji, czyli Stanisława Sławska-Taczakowa to lekarka pediatra i organizatorka profilaktyczno-leczniczej opieki nad małymi dziećmi, która wsławiła się m.in. utworzeniem po II wojnie światowej Miejskiej Stacji Opieki nad Matką i Dzieckiem — placówki udzielającej bezpłatnej profilaktyki dzieciom do lat trzech, czyli m.in. nadzorującej ich prawidłowe żywienie, propagującej karmienie naturalne i sposoby zapobiegania chorobom niedoborowym. Seweryna Grodzka-Tubacka zaś okazała się jedną z bardziej tajemniczych postaci, bo mimo że stała się współinicjatorką powstania gnieźnieńskiego Teatru, to nie sposób było dotrzeć do innych danych, w tym jej fotografii. Jeszcze inną z heroin wartych uwagi były również Ewa Kolanowska (ekonomistka w czasach pokoju i żołnierka AK w okresie wojny) albo Gabriela Mikołajczyk (archeolożka, muzealniczka i dyrektorka Muzeum Początków Państwa Polskiego), która dla swej placówki pozyskała nowy budynek. Natomiast grupę postaci historycznych zamknęły: kolejna wybitna poetka, erudytka i zdobywczyni licznych nagród Anna Piskurz oraz Sprawiedliwa wśród Narodów Świata i oddana edukowaniu pokoleń nauczycielka Helena Kowalewska.

Jeśli chodzi o bohaterki dnia dzisiejszego, to zostały one wybrane na podstawie podobnej różnorodności z akcentem na pasję, a na pewno prospołeczne działania i bez względu na wiek czy status. Pewnie dlatego też ze sobą sąsiadują m.in. energiczna szefowa Gnieźnieńskiego Stowarzyszenia Amazonek Krystyna Lubińska-Palicka oraz urodzona trzydzieści lat później pięściarka, trenerka personalna, ale też strongwoman i trójboistka Karolina Koszela. Dalej mamy typowo artystyczne i chyba najbardziej progresywne „dusze" w postaci filmoznawczyni i reżyserki filmów animowanych Wioletty Sowy, połowy duetu Siksa, a do tego performerki, poetki, punkowej feministki i świadomej artystki Alex Freiheit czy wybitnej tatuażystki, malarki oraz utalentowanej jeszcze w wielu innych dziedzinach Darii Dzięcielewskiej. Z kolei tym razem całość domykają Maria Chwiałkowska-Grygiel i Paulina Hennig-Kloska. Ta pierwsza to społeczniczka zaangażowana na rzecz ludzi bezdomnych, była nauczycielka i artystka, która m.in. razem z dotkniętym bezdomnością Marianem Wierzbickim, założyła Powiatowe Stowarzyszenie „DOM" prowadzące obecnie dwa ośrodki. Natomiast Hennig-Kloska jest raczej znana dla wielu jako posłanka Nowoczesnej, która to w naszym zestawieniu pojawiła się choćby dlatego, że jest pierwszą gnieźnianką obecną w Parlamencie po 1989 roku.

I choć pewnie niektórzy mogą się zżymać i zastanawiać dlaczego akurat takie kobiety stały się bohaterkami naszej wystawy, to odpowiedź będzie prosta. Ważny był też — poza potrzebą tworzenia i odzyskiwania lokalnych „herstorii" oraz pokazania ich różnorodności — przekaz, że feminizm zawsze poszerza możliwości działania, włącza w sferę publiczną każdą kobietę, która tego potrzebuje oraz jest namacalną wolnością, równością i niepodległością dla społeczeństwa. ★

#Metoo jest rewolucją

Kiedy ponad rok temu jedna z hollywoodzkich aktorek wyznała, że była molestowana seksualnie przez wpływowego producenta filmowego, nikt nie spodziewał się, że fakt ten wywoła potężną lawinę podobnych wyznań na świecie i przeora społeczną świadomość.

Kamila Kasprzak-Bartkowiak

Dzięki temu stało się możliwe spotkanie na ten temat w Miejskim Ośrodku Kultury, zainicjowane przez prof. Grażynę Gajewską z Instytutu Kultury Europejskiej UAM w Gnieźnie. Wydrzenie podzielono na dwie części: spektakl pt. „#Metoo ze sceny" w reżyserii Uli Kijak oraz dyskusję z udziałem reżyserki; oprócz niej obecne były Maja Staśko (krytyczka literacka i publicystka) oraz Violetta Ratajczak (pełnomocniczka Kongresu Kobiet i przedsiębiorczyni). A wszystko to w środowe popołudnie 7 listopada 2018 r., czyli w Światowy Dzień Feministek, ale też w setną rocznicę powstania Tymczasowego Rządu Ludowego z Ignacym Daszyńskim na czele, który to również domagał się praw dla polskich kobiet w 1918 roku.

Tymczasem na spektakl, a właściwie swoiste czytanie performatywne z udziałem aktorek z poznańskiego Teatru Polskiego i nie tylko, złożyły się prawdziwe historie kobiecych krzywd. Osobiste opowieści z hasztagiem #metoo lub #jateż, gdy tylko runęła „odwieczna" bariera niesłusznego wstydu, lęku i milczenia. Relacje lub pojedyncze zdania wypowiadane z siłą i autentyzmem, tak jakby zawarte w nich przeżycia miały miejsce dosłownie wczoraj. A do tego dłuższe historie: o zbiorowym gwałcie na 13-latce podczas obozu czy bezczelnym wykorzystaniu młodej kobiety przez byłego chłopaka. Wszystko to podlane niepokojącym i neurotycznym dźwiękiem wygrywanym przez rudowłosą instrumentalistkę, która jako jedyna nie zabrała werbalnie głosu. Co ważne, wybrzmiały tu jeszcze te wszystkie śmichy-chichy „porządnych obywateli", a co gorsza obywatelek, z ofiar, że „same się prosiły" czy „przesadzają", ale też z „przewrażliwionych i nienormalnych feministek", czyli społeczna znieczulica, która zawsze jest przyzwoleniem na zło. Jednym słowem, bardzo zgrabna sztuka o tym, że człowiek człowiekowi może zadać cierpienie także dlatego, że różni go płeć i pozycja władzy, choć niektórzy i tak pewnie nazwą to publicystyką...

Natomiast jeśli chodzi o dyskusję, to okazała się ona błyskotliwym i potrzebnym dopełnieniem spektaklu. Podczas tej rozmowy, przeprowadzonej sprawnie i bez zbędnych dygresji przez prof. Grażynę Gajewską, wcale niemała publiczność mogła dowiedzieć się choćby, że Ula Kijak postawiła w swoim przedstawieniu na różnorodność doświadczeń i bohaterek, firma Violetty Ratajczak wypracowała antydyskryminacyjne procedury dla pracowników, a według Mai Staśko doświadczenie #metoo należy do każdego kto doświadczył seksualnej przemocy, w tym mężczyzn, i sama rozmowa o tym na tak dużą skalę, co umożliwiły choćby media społecznościowe, oraz realne i mentalne zmiany — są rewolucją. ★



Fot. K. Kasprzak-Bartkowiak

Kolektyw Przychodnia

W trakcie ostatnich miesięcy Kolektyw Przychodnia zorganizował w swojej przestrzeni wiele wydarzeń — od akcji politycznych poprzez benefity wspierające inne inicjatywy.

Kolektyw Przychodnia

Oprócz lokalnej działalności wspomagaliśmy inne ośrodki w Polsce. Braliśmy udział w demonstracjach sprzeciwiających się dyskryminacji ze względu na płeć i orientację seksualną (Marsz Równości w Lublinie, TRANS won't be erased), kolor skóry, pochodzenie i religię (Obchody Upamiętniające Ofiary Getta Ławkowego, UW przeciwko deportacjom, demonstracja ku pamięci Fiodora Filatova, Tribute to Andre — zbiórka dla uchodźców przebywających na granicy węgiersko-serbskiej), a także wydarzenia antysystemowe (Solidarnie z uwięzionymi za Antykongres 2015) i liczne działania prozwierzęce (blokady polowań, czuwanie przy transporcie żywych zwierząt, projekcja filmu Dominion). Współtworzyliśmy Blok Antykapitalistyczny na Marszu dla Klimatu podczas demonstracji antyszczytowej w Katowicach COP2018.

Prócz czynnego udziału w manifestacjach i pikietach organizowaliśmy i współorganizowaliśmy benefity: Krata Browara — benefit na Fundację Znajdki, Wszystkie Stany Świadomości — z Ekipą Świętego Mikołaja, benefit na anarchistów zatrzymanych za antykongres 2015.

Oprócz aktywności na tych polach udzielamy się w Kolektywie Cafe Kryzys, a także organizujemy wiele koncertów i pokazy filmowe. Każda osoba, która jest zainteresowana współpracą może skontaktować się z nami przez naszą stronę na Facebooku lub przyjść na spotkanie Kolektywu. ★

Siódme urodziny Przychodni (5–7.4.2019)

Czas ogłosić wszem i wobec, że jest już ustalona data kolejnych urodzin warszawskiego skłotu Przychodnia (ul. Skorupki 6a). W dniach 5—7 kwietnia 2019 r. szykujemy dla was mnóstwo atrakcji zarówno muzycznych, sportowych, jak i tych związanych z działalnością współpracujących z nami grup aktywistyczno-politycznych! Będą więc koncerty, turnieje, dyskusje i masa innych atrakcji! Część wydarzeń mamy już zaplanowanych, lecz wszystkie karty odkrywać będziemy powoli w swoim czasie. Zaklepujcie sobie datę w kalendarzu, zapraszajcie znajomych, śledźcie nasze wydarzenie i widzimy się na początku kwietnia! ★

facebook.com/przychodniasquat



ŁÓDŹ – NOWY WIATR W CZARNO-CZERWONE ŻAGLE

W ciągu ostatniego półrocza łódzka sekcja Federacji Anarchistycznej podjęła szereg działań we współpracy z organizacjami o pokrewnej płaszczyźnie ideowej. Część działań była kontynuacją inicjatyw funkcjonujących nieprzerwanie od kilku lub więcej lat.

Ludwika Wykurz



Od wielu lat działa akcja Jedzenie Zamiast Bomb. Łódzkie foody, jako jedyne w Polsce, działają przez cały rok, również w miesiącach letnich. Oprócz jedzenia rozdajemy potrzebne rzeczy — tj. odzież, pościel itp.

Wraz z inicjatywą Łódź Pomaga Uchodźcom angażowaliśmy się w zbiórki na rzecz uchodźców w pobliskim ośrodku w Grotnikach, a także dla uchodźców w innych ośrodkach.

Współpracujemy z Obozem dla Puszczy. W październiku 2018 r. współorganizowaliśmy benefit dla Puszczy Karpackiej oraz spotkanie informacyjne dotyczące obrony lasu Hambach w Niemczech.

Nasi przedstawiciele i przedstawicielki są w strukturach łódzkiego Stowarzyszenia „Bratnia Pomoc”, pomagającego m.in. lokatorom zagrożonym eksmisją. Bierzemy udział w blokadach nielegalnych eksmisji, wspomagamy i nagłaśniamy działalność Stowarzyszenia.

Współpracujemy z organizacjami feministycznymi: Łódzkie Dziewuchy Dziewuchom i Kolektyw „Manifa”.

Część członków FA Łódź jest w strukturach Związku Syndykalistów Polski i prowadzi działalność związkową oraz propracowniczą.

27 października zorganizowaliśmy w naszym mieście pikietę solidarnościową z uwięzionymi anarchistami ze Śląska, w której wzięli udział przedstawiciele innych sekcji.

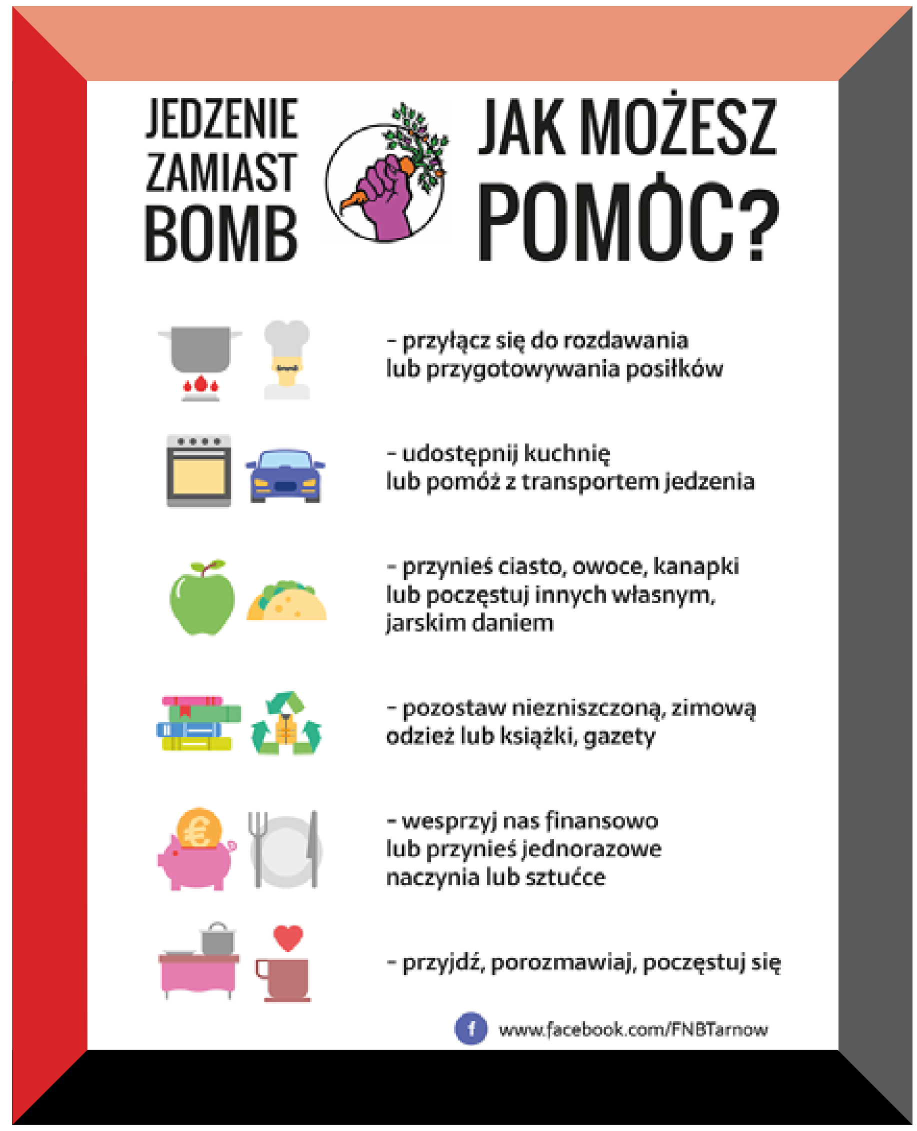
Łódzka sekcja organizowała też w październiku ogólnopolski zjazd Federacji Anarchistycznej. Zapewniając miejsce spotkań, podstawowe wyżywienie i miejsce do spania.

11 listopada przedstawiciele łódzkiej sekcji uczestniczyli w organizowanej przez Koalicję Antyfaszystowską imprezie techno, która była w tym roku alternatywną dla corocznych marszów antyfaszystowskich.

Duża reprezentacja sekcji brała też udział w Marszu dla Klimatu, który odbył się w Katowicach w związku z COP24. Po marszu uczestniczyliśmy w pikiecie solidarnościowej pod komendą przy ul. Lompy, gdzie policja przetrzymywała zatrzymane bezpodstawnie trzy osoby z naszego bloku.

Angażujemy się w wydarzenia kulturalne związane z promocją anarchizmu. Latem organizowaliśmy własną, równoległą do warszawskiej edycję Festiwalu Filmów Anarchistycznych. Promujemy pisma, broszury i literaturę anarchistyczną, współpracujemy z Oficyną Wydawniczą Bractwa Trojka, wydawnictwami „Inny Świat”, „A-tak” oraz Spółdzielnią Faktoria; również jako autorzy/autorki i tłumacze/tłumaczki.

Podsumowując — ostatnie półrocze było dla łódzkiej sekcji okresem powrotu do działalności na pełnych obrotach, okazją do zaangażowania się w przeróżne akcje lokalne i ogólnokrajowe. ✯







Aktywizm powrócił do Ostrowa Wielkopolskiego

Ostatni rok powitał powrót działań ruchu antyfaszystowskiego i wolnościowego w Ostrowie Wielkopolskim. Skonfrontowani z faszyzmem, coraz śmielej podnoszącym łeb w naszej okolicy, nie mogliśmy siedzieć dłużej bezczynnie.

Antyfaszystowski Ostrów Wielkopolski

Reaktywowaliśmy z powodzeniem akcję Jedzenie Zamiast Bomb, w czym otrzymaliśmy niemałe wsparcie z poznańskiego FNB. Co dwa tygodnie, jak w zegarku o godz. 14 w niedzielę wydajemy ciepłe wegańskie posiłki wszystkim potrzebującym albo chociaż zainteresowanym akcją.

Na co dzień prowadzimy kampanię uświadamiającą na temat faszyzmu, jego symboli, działań i powiązań lokalnych nacjonalistów. Kolportujemy „A-tak" w dużych ilościach i staramy się wspierać działalność związkową, np. zorganizowaliśmy akcję z biuletynami Inicjatywy Pracowniczej pod największym zakładem pracy w mieście.

Dbamy o czystość miasta, regularnie organizując porządki, czyli zamalowywujemy faszystowskie graffiti, które niedawno zaczęło zalewać nasze mury. Choć walka jest nierówna (przez nadmiar czasu jaki nasze naziolki najwyraźniej mają do dyspozycji) odnosimy na tym polu spore sukcesy — lekko licząc, już kilkadziesiąt celtów, swastyk i haseł nawołujących do nienawiści spotkało swój los pod naszą szarą farbą.

Dokumentację naszych starań możecie obejrzeć na kanale Wywrotowe Idee na YouTube. Nie obijamy się, ale roboty wciąż jest sporo w Południowej Wielkopolsce, więc jeśli bywasz w okolicy i jesteś chętna/y do współpracy, pisz śmiało na antyfaszystowskiostrowwlkp@gmail.com albo nasz fanpage na Facebooku: Antyfaszystowski Ostrów Wielkopolski. ★

Słowa ranią jak nóż

„Pomoc wzajemna" i „dobro wspólne" — to hasła często słyszane w ruchu anarchistycznym. Krótkie, a tak wiele wyrażające, idealne w swojej prostocie. Bez wątpienia kojarzą się z ruchem, ale czy ruch kojarzy się z nimi?

Fl@kon

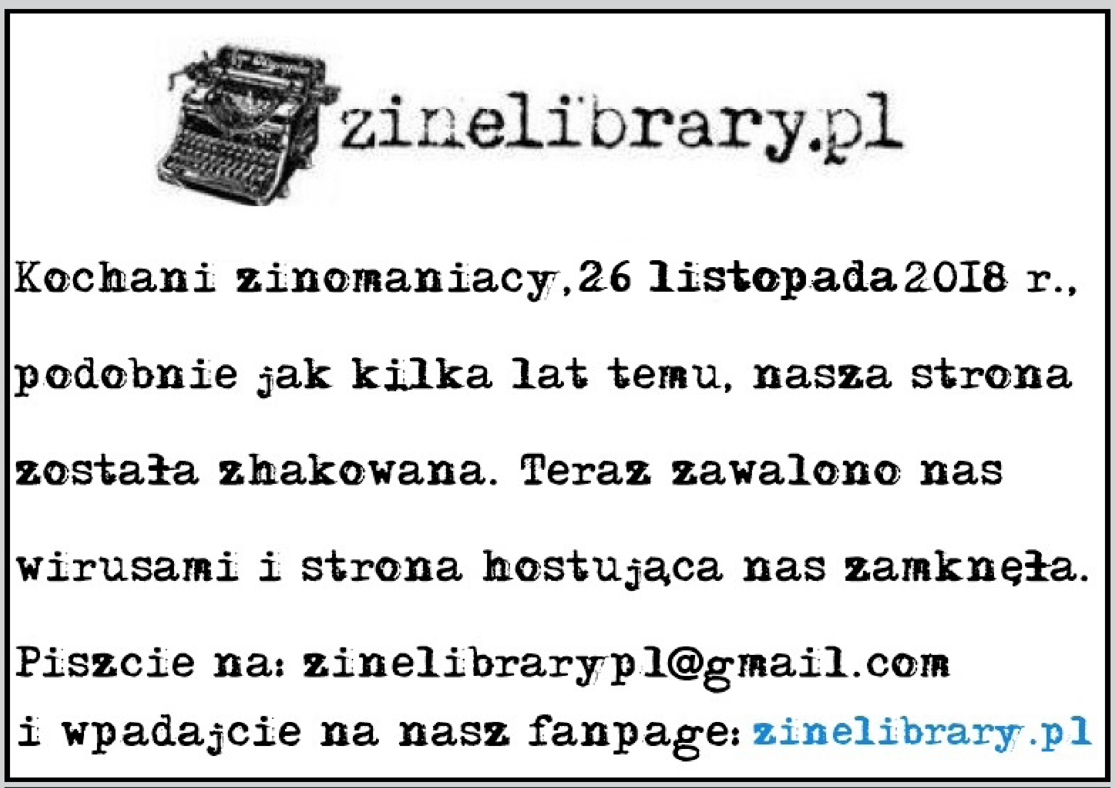
Jestem w Federacji Anarchistycznej oficjalnie od niedawna. Poznałem wiele osób, każdy inny na swój sposób, wyróżniający się spośród reszty i choć wiele nas łączy, nie znaczy to, że na każdy temat posiadamy takie same zdania. Dlatego często dyskusje bywają gorące — szczególnie, gdy przy okazji jakiegoś tematu nie ma porozumienia. I dobrze, dialog jest zawsze potrzebny, można by rzec, że jest to najmniej krzywdząca forma przekazu swoich idei... Ale czy na pewno?

Przebiegowi rozmowy często towarzyszą kontrolowana agresja i nerwowa gestykulacja. Sam nie jestem mówcą, więc trudno mi ocenić czy takie reakcje są normalne, czy emocje zawsze biorą górę i trudno nad nimi zapanować? Ja, jako osoba spokojna i raczej obserwator, jestem wyczulony na tego typu zachowania. Choć staram się być wyrozumiały, irytują mnie zachowania przesiąknięte cwaniactwem i chamstwem, których nie raz byłem świadkiem. Dajmy na to: jakiś kolektyw czy osoba, która ma pomysł na wydarzenie, akcję i przedstawia to grupie, jest nie z rzadka bombardowana krytyką — i to nie taką konstruktywną, bo ta jest jak najbardziej wskazana, tylko taką agresywną, często nie popartą żadnymi konkretnymi argumentami. Czasem wydaje mi się, że komentarz takiej osoby jest „żeby być" i przepraszam za wyrażenie, ale jest to „pierdolenie dla pierdolenia". Łatwo jest atakować kogoś i krytykować jego pomysły, znacznie trudniej jest doradzić i podsunąć jakieś inne rozwiązania. Pewnie dlatego, że wtedy trzeba się już zastanowić, co się mówi, by miało to sens.

Nie mam zamiaru nikogo tu wytykać palcami, każdy powinien sam wiedzieć, jak się zachowuje i co sobą oraz swoim zachowaniem reprezentuje. Najgorszą prawdę można wyrazić naprawdę tak, by kogoś nie urazić i przede wszystkim nie zrazić do siebie czy grupy. Zdaję sobie sprawę, że to nie przedszkole, ale czy naprawdę musimy stosować tak prymitywną formę dialogu? Przejaw takiego zachowania ma również miejsce w formie pisemnej, tu naprawdę można by przytoczyć kilka znakomitych przykładów. W przypadku tej formy wypowiedzi jest o tyle trudniej, że osoby wypowiadającej się nie da się uciszyć ani powstrzymać aż do momentu, gdy ulży sobie i nakarmi swoje ego. Żeby była jasność, nie mówię, że te wypowiedzi to zawsze brednie, bełkot i ujadanie głodnych psów. Bywa, że mają nawet sens, ale forma przekazu jak dla mnie jest niedopuszczalna.

Żeby uprzedzić złośliwe komentarze, nie chodzi mi o to, by głaskać wszystkich po głowie, ale jak czytam, słucham i przyglądam się co niektórym rozmowom, odnoszę wrażenie, że oglądam debatę polityczną ludzi, którzy plują na drugich jadem.

Starajmy się wzajemnie szanować, słuchać i próbować zrozumieć, postawmy się czasem na miejscu naszego rozmówcy i zmieńmy perspektywę patrzenia na problem — to naprawdę nie jest takie trudne. Wystarczy odrobina empatii i dystansu do samego siebie. A jeśli nie potrafimy się do siebie odzywać z szacunkiem, to może w ogóle tego nie róbmy, bo agresja, chamstwo i cwaniactwo to ani pomoc wzajemna, ani dobro wspólne. ★











Czy masowy odstrzał dzików jest potrzebny?

Federacja Anarchistyczna – s. Poznań, Poznaniacy Przeciwko Myśliwym

Mniej więcej od połowy zeszłego roku wiemy, że za rządów PiS nie będzie żadnej „dobrej zmiany dla zwierząt". Ostatecznie nie wprowadzono oczekiwanych zmian w ustawie o ochronie zwierząt w tak ważnych kwestiach, jak np. zakaz uboju rytualnego czy zakaz hodowli zwierząt futerkowych. Projekt nowelizacji ustawy padł pod presją lobby producentów przetworów zwierzęcych. Co więcej, na ewidentne zamówienie lobby mięsnego pisowskie państwo nakazało masowy odstrzał dzików w Polsce. Obecnie trwa ich rzeź. Strzela się nawet do loch ciężarnych czy prowadzących młode. Celem jest radykalne ograniczenie populacji tego zwierzęcia do poziomu ok. 75 tys. (czyli mniej więcej do poziomu 1/3 do 1/4 dzisiejszego stanu).

Masowy odstrzał motywuje się walką z „afrykańskim pomorem świń" (ASF) — chorobą zakaźną, która niesie zagrożenie dla skoncentrowanej przemysłowej produkcji świń. ASF ma być przenoszony przez dziki. Obliczono także, że ewentualne zabezpieczenie hodowli przed ASF może pochłonąć nawet kilkanaście miliardów złotych, które musiałoby pokryć państwo i/lub producenci wieprzowiny. Dlatego rząd zdecydował się na wybicie zdecydowanej większości dzików, w nadziei, że tym sposobem zapobiegnie rozprzestrzenianiu się zarazy. Przeznaczono na to ok. 300 mln zł, a odstrzał „zlecono" Polskiemu Związkowi Łowieckiemu. Czy wybicie dzików będzie skutecznym sposobem na walkę z ASF? Wielu specjalistów twierdzi, że niekoniecznie.

Głównym celem podjętych działań, jest ochrona interesów wielkich międzynarodowych korporacji. W Polsce w ostatnich latach wiele grup kapitałowych przeznaczyło ogromne kwoty na budowę nowych przemysłowych chlewni. Ferm tego typu zaczęło gwałtownie przybywać, podobnie jak zakładów przetwórstwa mięsnego. W naszym kraju ulokowali się tacy potentaci jak, owiany złą sławą, amerykański Smithfield Foods (dziś kontrolowany przez notowaną na chińskiej giełdzie WH Group) czy włoski Pini (kontrolujący ok. 30% polskiego rynku przetwórstwa wieprzowiny). Rząd PiS i inne ugrupowania prawicowe nie bronią bynajmniej — jak twierdzą — interesów polskiego chłopa. Ten od dawna rugowany jest z polskiego rynku rolnego. Narodowa retoryka ma uzasadnić wsparcie dla mięsnego biznesu, który de facto wyniszcza polską wieś ekologicznie i ekonomicznie. Skoro zagrożeniem dla jego interesów jest ASF, państwo PiS nie zawahało się zlikwidować stada dzików, by akcjonariusze z Chin, Stanów Zjednoczonych czy Włoch mogli spać spokojnie.

Sprzeciwiamy się bezmyślnej polityce masowego odstrzału. Sprzeciwiamy się polityce władzy, której nie chodzi o obronę zwierząt, a jedynie o ochronę ekonomicznych interesów ponadnarodowych koncernów! ★


POLOWANKO?